

Międzymorze

Stefan Żeromski



calibre 0.9.27

MIĘDZYMORZE

Stefan Żeromski

...grzmiącymi pierściami białe roztrąca się morze.

I z pianistej gardzieli piasku strumienie wylewa...

Adam Mickiewicz

Zachwycała się fiołkowa chmurka pięknnością rogatego księżycy na godzinę przed wschodem. Rozpostarła się, ni to uwielbienie bezsilne przed srebrnym majestatem, w dole jego połyskliwej bryły.

Nie może odpłynąć na wschód, nie może się na zachód odczołgać.

Dalekie niebo przybrało kolor pomarańczy dojrzewającej w ogrodach Wschodu. Jak owoc dojrzewający, nasyca się blaskiem słońca, które zmierza w te strony. W głębinie jasnej nocy spoczywa w blasku miesięcznym nieruchomy bór sosnowy. A bór utkany jest z koron tak bujnych, jakby żywiące go pnie nie z bezdennych wyrastały piasków, lecz z tłustego ładu Nałęczowa.

Ani jedna gałązka, ani jedna witka, ani jedna igła nie porusza się, nie wzdryga, nie powiewa.

Zamilkł teraz czujny kogut, tak tęskniący za słońcem wśród ptasiego rodu jak słonecznik i heliotrop wśród roślin.

Gołąb nakrył żółtą źrenicę błoną powieki i przytulił śniade łono do łona gołębicy.

Łagodnie i niepostrzeżenie wygina się południowy brzeg półwyspu, przybierając w oddali kształt głowy i dziobu gołębia.

Od tego dzioba ziemi biegnie w bławe morze szlak ledwie dostrzegalny dla oka. Tam w dali widnokrąg zagłębia się we mgłę fiołkową, a linia granatowa zaznacza, iż to morze bierze rozbrat z firmamentem i wydziela się w mocarstwo swoje od powietrza bez granic.

Jasny pas piasku, pełen bladożółtych odcieni, jak wgięta płaza miecza wielkiego ściele się na dalekiej przestrzeni.

Na tym otwartym nadmorszu zabiegliwa fala z cicha tej nocy pracowała. Przynosiła niestrudzenie i raz koło razu półkolistymi naręczkami kładąc w przeguby i wiązania, wśród rytmów niezmiennych, miotała webło, czyli kidzenę, czyli morską trawę, którą z głębokich zatargów, z mulistych głębin wyniosła i na ten strąd wydzieliła.

Wielobarwna trawa nikle widnieje na bladym pobrzeżu, jakoby szlak kolorowy na delikatnym ciałeczku morskiej chełbi, czyli barwistej meduzy.

Wzniosło się słońce z topielisk, ponad wszelkie słowo piękniejsze, rzucając radość żywota w lądy i w morza.

Poczuły nie znaną nam rozkosz róże w ogrodzie i wydały w spazmach rozkwitu pachnące westchnienie.

Rozrywa się lepka cieśnia ich płatków, gdy po długich deszczach spadła na nie w ten czerwcowy poranek płomienna sfera upału.

Niewidzialny kos, pustelnik, ukryty w zielonych gałęziach sosny pochyłej od wiatrów zachodu, która dlań puszcza jest macierzystą i ojczyzną, wita słońce uwielbiającym poświstem.

Karmazynowy kwiat begonii dźwiga kielich swój spod piasku, którym go chłozujące wiatry i nawalne deszcze przybiły.

Wysuwa się zza cienia sosny, istny żebrak z mrocznej kruchty kościoła stukający swymi kulami w pośpiechu na łeb na szyję, żeby zobaczyć lśniące koła karety, w której cesarz Indii w majestacie swym szybko przejeżdża.

Wznioślejszy jest ponad wszelkie słowo uwielbienia ten powrót słońca. Wieczny jest i niezmienny, zawsze ten sam, a nigdy ani o jedno jotę, ani o jedno kreskę nie mniej olśniewający i budzący zdumienie niż przed nieskończonym czasem oceanem.

Sieje oto obłoki pyłu i zapładnia dziewicze słupki żyta na urodzajnej kępie Oksywia.

Pogania ławice wiosenne śledzi ku wodom na poły słodkim, zasilanym przez Wisłę. Wyciska lepkie soki z szyszek młodocianych sosny. Otwiera wysmukłe pąki nadmorskich goździków i wydostaje z nich strzępiaste płateczki, najdelikatniejszymi kreskami różu nikle zabarwione.

Zbudził ze snu żółtego motyla i kazał mu w obłędzie szczęśliwym polatać nad szafirowymi falami morskich przestworów.

Gruba chmura, która całunem ogarnęła moją duszę i całunem zasłoniła moje oczy, odwinęła się tego rana.

Dźwignąłem głowę spod całunu i podniosłem oczy na tę stronę ubogą.

Uśmiechnęły się do mnie własnym uśmiechem mej duszy wyżyny, białe zaspasy piaszczyste, błądą porośnięte wydmuszycą.

Roześmieję się jeszcze ze szczęścia mej młodości, od nadmiaru siły oczu, z przepychu władzy mojej, która niegdyś radośniejsza bywała od promieni słonecznych.

Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mię życie trzyma - spomiędzy kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy.

Widzę nareszcie ciała ludzkie, z których opadły stroje, szaty, szmaty i gałgany.

Widzę nareszcie ciała ludzkie w najpiękniejszym ich stroju, w spaleniźnie, szacie pełnej powabu.

Zgorzałe od słonecznego pożaru, przejrzone przez słońce na wylot, zabarwiły się na rdzawo, na rudo, na płowo.

Białe, wymokło ciało miejskie jest tu obmierzłe dla oczu, budzące wstręt jako ślina.

Płuca tu oddychają powietrzem, do którego nie dosięga brud, kurz, pył i latająca w nich zaraza.

Klatki piersiowe mężczyzn, ich karki, żebra, uda, lędźwie, ręce i nogi pali niestrzymane słońce jakoby tysiąc tysięcy lamp kwarcowych.

Kobiety mają tu nie tylko sadło pokryte białą skórą i bezwładne kształty godne pościeli i rozkoszy, lecz silne ścięgna, mięśnie sprężyste i kości pełne mocy. Nawet obmierzli, ułomni i szpetni nabierają tu wdzięku i kształtu.

Starzec siedemdziesięcioletni wyszedłszy z błękitnej kąpeli ćwiczy gimnastycznie swe ciało, wyrzuca to ręce, to nogi, zgina wiekowy kręgosłup, czaszką spaloną na czarno połyskuje wokoło zwyciężając niezwalczoną siwiznę. Dzieci, ciemne lub rude od słońca i wiatru z południa, jak anioły igrają w blasku odtraconym przez falistą powierzchnię.

W bryzgach piany biegając bez przerwy, noszą istną aureolę świetlistą dookoła sprężystych swych ciałek.

Morze wiekuiście ruchliwe podnieca energię ich skoków, prześcigów, poruszeń i tańców - wiatr wschodni popędza je z miejsca na miejsce - a światło migające na falach - śmiech nieskończonej radości w nich budzi.

Bawią się z olbrzymim potworem, który szpik ich kości mocą życia nasycy, a ze krwi nasiona

zarazy, ziarna śmierci wypędza.

Chwytają go za gardziel drobnymi rączkami, a krople złota i srebra sypią się na wsze strony z ich maleńkich paluszków.

Daleko, daleko w morze aż ku ławicom podwodnym, na których zachłysta się fala, pływaczka wysunęła się młoda. Prawe i lewe jej ramię na przemiany świetlistą wodę roztrąca, a głowa o urodzie wspaniałej raz wraz melodyjnie, to w tę, to w tę stronę, jak w tańcu się chyli.

Na podsypiskach tam, gdzie słońce najognistszym przypieka pożarem, leżą twarzą do blasku ostrego nieruchome kadłuby nasycających się światłem.

Tam, gdzie już ludzi nie ma, łańcuch zachyleń, bugajów i ostoi wgryza się w podsypiska, a szczodra, od piany czubata fala wodna nieskończenie w skok się narzuca.

Palce nóg nie wgłębiają się i nie mogą odcisnąć na tym ciemnym boisku, a pięta nie więźnie w wychłostanej i stwardniałej płaskoci.

Na nieskalanym, przymorskim chodniku piszą wciąż fale smugi dymne i sade. Po milionkroć muskają i gładzą a dopasowują w formę doskonałej płaszczyzny piasek, już dawno-dawno zmielony na mąkę.

Nad głębią strony, czyli nad tą smugą przybrzeżną, skąd podplusk na strąd wbiega, ciemna lśni barwa.

Za nią ciągną się zieleńce, smugi płycizn, pod którymi tkwi rewa i zalegają piaski zdradne.

Tam, z wielkich idąc oddaleń, z ciemnych bezkońców, wały morza spotykają przeszkodę, wrą tedy, złoszczą się, pienią.

Gdzieniegdzie na mojej drodze wiązka rudego webła uderza w spojrzenie, kudłata, śliska, ośliniona i osypana bąblami.

Wydarło ją bujne morze mocą swoją i władzą, ostoję i przytułek igrających dorszów i storni, czy wydarła przemocą denna matnia kręcichy, rybackiego niewodu. Ani jeden kamyczek nie wynosi się z toni. Gdzieniegdzie ułamek szerniałego drzewa, korek lub szczątek węgla z człowieczego kędyś ogniska czerni się z dala w blasku pobrzeża jak resztką wstrętne brudu.

Morze otrząsem wewnętrznej odraży i womitem zewnętrznym wyrzuciło go z siebie. Ostra wełna nieustannym zakosem podbija stare piaszczyste pokłady, podrzyna niematerialnym swym cyrklem wypukłe półwyspy i wklęsłe zatoki. Tu i tam odsłania barwne ostrze, nikłymi zdobione kolory, ubite dawno, uklepane warstwie.

Niestrudzony, jednostajny poszum morski przesącza się w poprzek ciszy. Lecz oto zniweczył go i roztrącił szelest pluszczący i świszczący.

Wysmukły, nagi młodzieniec, o budowie efeba, wszystek brązowy, z twarzą, w której tylko białka oczu błyskają, jednostajnymi skokami plażę mija. Kark jego jest prosty, łopatki w tył podane, kędzierzawa głowa zadarta, ręce pod pachami złożone i zaciśnięte dłonie.

Pierzchliwie pryska spod jego bystrych a rozrosłych stóp morskie rozpostarcie na strądach.

Zda się, iż pierzaste skrzydła migają z prawej i z lewej strony u każdej jego stopy miedzianej.

Zda się, iż to skrzydłopięty Hermes z Olimpii ocknął się i przebiega wybrzeżem morza północy.

Ciemna postać w oczach oddala się, mętnieje, mgłą się zawściąga. Daleko w błękicie znika.

Na przymorskim chodniku, który stanowi wschodnie brzuśce przyrostów półwyspu, wciąż linia złotofalista wynika i przygasa.

Nie ma tam już ludzi.

Nareszcie - nie ma nikogo.

Bieli się tylko w dalekim błękicie stado mew wiecujących. Złożone są ich płowe, smuzką białą ośnieżone skrzydła i białe głowy widnieją z dala na fali.

Z siodłatej barwy zwierchniego płaszcza swych piór podobne do morza w czas burzliwy - barwą głowy i spódnic naśladowują piany pędzące na czubach bałwanów. Spłoszone widokiem przychodnia, pierzchają, wnet jednak zlatują białymi pierściami we wzdęte podrzuty żywiołu i jak łodzie człowiecze ponosić się każą. Jedna tylko, odbita od stada, wciąż krąży.

W moją stronę nawraca.

Unosi się wyżej i niżej, jak jastrząb kołuje, leci w prawo i w lewo. Jak strzała wprost na mnie przypada z wyraźnym zamiarem napaści. Widzę tuż nad swą głową rozpostarte jej skrzydła, dziób rozwarty, słyszę krzyk chrapliwy i dziki.

Gdybym kij swój podźwignął, znalazł kamień, uderzył z całej mocy ramienia, zabiłbym napastnicę.

Dostrzegła czy przeczuła niewiadomą mi władzę ten zasób mej potęgi, ten impuls mojej woli, bo krzyk jej stał się ostry, złowrogi, zaiste wojenny. Nie inaczej - wyzwala mnie do boju!

- Czegóż ode mnie chcesz, skrzydlata? Com ci krzyw, śnieżnopióra? Czy i ty w tej samotni, na granicy wód i piasków, tylko prawa wojny za prawa uznajesz?

Krzyk rybitwy nie ustał, nie zniżył się, nie nacichł, lecz się wzniósł i dosięgnął granicy obrzydliwej rozpacz. Zrozumiałem treść tych ptasich okrzyków.

Zrozumiałem dokładnie.

Poczytuje mię, widać, za kształt śmierci dwunogiej, która zmierza w kierunku jej gniazda. Krok mój poczytuje za krok śmierci, który lada chwila zniweczy gniazdo, ukryte kędyś w zagajach charszczów i badylów tej strony, ukłeczone z kolczastych włókien mikołajka.

Wiem, dobrze wiem, co jest w krwionośnym sercu, gdy dwunoga śmierć zbliża się do gniazda przytulonego do ziemi.

Wiem, dobrze wiem, co jest w rozwartych oczach, gdy spokojna, obojętna, radosna przechadza się w pobliżu, na ścieżce prowadzącej do progu.

Mam w gardzieli ten sam krzyk, który się spod twego serca wydiera, ptaku popielaty.

Każdy odcień chrapliwy pamiętam na widok przybliżania się i na widok oddalenia. Znam także odcień tego krzyku, gdy nie omija schronienia i, wpośród tysiąca innych, do mojego jedynie wybiera się w odwiedzin, gdy - po tysiackroć przeklęta! - na moim nieszczęsnym sercu wszechmocy swojej próbuje.

- Uciszyć się, matko!

Nie ja to jestem kształtem śmierci twojej lub czyjejkolwiek, kogo aż do śmierci miłujesz.

Ja jestem jako i ty, jedynie ptak polotny, którego skrzydła burza z prawa i z lewa podbija.

Przez twoją świętą trwożę, przez twój krzyk żalostnej miłości niechaj bezpieczne będzie twe gniazdo małe!

Wyprowadź cichcem a nieobaczkiem przed zbójcami dzieciątka swoje między dwie błękitne otchłanie, wyższą i niższą, między niebo i morze.

Niechaj szczęśliwie, według swojej natury, w rozkoszy bytowania wygną sustawy i pióra swych skrzydeł.

Niech najpotężniejszemu wichrowi sprzeciw postawią i jako żagle zagrodzą drogę, żeby dzięki lekkiej przeponie ich kostek, ścięgien i piór sam musiał je naszać aż pod lecące obłoki, wywyższać, podnosić wzgórze, w promieniach słońca wiecznego.

Twórca dnia, wiekuisty i nigdy nie gasnący ogień niebieski, doskonały krąg żywota, światów i bytów, złote słońce, stacza się oto z nieboskłonu.

W szkarłat nabrzmiałej kuli, niestrzymany dla oka, przemienia złoto swojego kręgu, rozciąga kulę w kształt wydłużonego elipsoidu - i w wodach puckich, kędyś na prost królewskiego Rzucewa, tonie

w rozplómionym Małego Morza obszarze. Gdy na wybrzeżu, w gwarnym Sopocie, w pięknym Orłowie, w Gdyni, rozgłośniej od łoskotu pracy, rozciąga się już przedmrok błękitu, gdyż słońce zaszło tam już za lasy uroczego wzgórz łańcucha - na podsypiskach i dunach Helu wciąż jeszcze trwa świetlisty dzień, aż do ostatniej chwili pogrążenia się w falach górnego krańca płomiennej słońca korony.

Do tej ostatniej chwili w jego promieniach dzieci radosne skaczą na białych pochylniach i w pianach tego wygrzanych.

Oczy wszystkich śmiertelnych z pożegnalnym westchnieniem i z wewnętrznym szeptem uwielbienia zwracają się w tej chwili ku odchodzącemu rozdawcy żywota. W każdym oku objawia się trójkąt piękności, wiecznie istniejący i zawsze ruchomy, przenośny z miejsca na miejsce, stworzony przez linie nieskończenie długie między źrenicą, między słońcem ubywającym i linią jego odbicia w morza drgającej powierzchni.

Na drgającej morza powierzchni wynika kresa ruchoma, której widok zależny jest od każdego kroku człowieka w prawo lub w lewo, istniejąca rzekomo na rozległych wodach, a nie istniejąca po prawdzie.

Dokądkolwiek pójdzie i skądkolwiek spojrzy - gdyby nawet obszedł Wielkie i Małe Morze wokoło, ściele się przed nim o zachodniej godzinie na wsze strony, ażeby mu pokazać najpiękniejszy widok na ziemi: ślad słońca odchodzącego, który na morzu przygasa.

Jakże wieloraka, jak nie naśladowana dla żadnej ze sztuk i dla żadnego z usiłowań człowieka jest złotolita i srebrnolita, rubinowa i diamentowa wstęga na morzu!

Dla każdego oka jest własna, dla każdego oka gdzie indziej, jest wszędzie, w istocie nigdzie jej nie ma.

Igrające ryby skaczą w niej zataczając dokoła siebie kręgi i sypiąc iskry złote, są to bowiem w tej chwili ryby złote, których nigdy nie było i nigdzie nie ma okrom wielkiego mocarstwa cudownych baśni piastunek i okrom nieobeszłego mocarstwa poezji.

Trójkątne skrzydła płóciennych żagłów - klin na przedzie, wielki grot w środku, topżagiel w górze - przesuwają się poprzez pręgę złotolitą nabierając złota, srebra i drogich blasków w bryty swoje i w zaświat czarodziejski, do mocarstwa baśni dzieciństwa, do stolicy Cudogrodu z tych wód odpływają.

Gardzina młody, bohater nieulekły ze świetlistym oszczepem w dłoni, stoi przy drzewie masztu i śle oczom starym z daleka patrzącym pożegnania na zawsze, na zawsze - nie-pojęty znak dobranocny.

Zagasa słońce w wód topieli.

Noc nadciąga.

Przepych szkarłatnej, cienkiej pawłoki ściąga ze siebie lśniące morze. Zagasa szkarłat, szafran, kolor nasturcji, zieleń, błękit, niebieskość i fiolet. Zdmuchnięty został i zagaszony złoty szlak drogi słonecznej.

Smutek i przestach, nie dający się ująć w wyraźne słowa ani nazwać po imieniu, przejmuje tajemnym sposobem kości i uciska serce człowieka. Niepokój potrąca nerwy, gdy zagasa złota światłość słoneczna, a trójkąt niewiadomy, samoświecący, wyjęty jest ze źrenicy.

To noc, siedlisko rozkoszy snu i okrąg straszliwy bezsenności - gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie - daje znak o swym panowaniu.

Noc - dziedzina rozpasania się ciała i rozpętania się mąk duszy, umocowanej i skrępowanej za dnia przez pamięć, którą słońce żywi i hoduje.

Noc - otchłań samopoduszczeń się rozpusty i jaskinia bezładnych marzeń o wyjściu poza obręby rozumu, o wyłamaniu zagród otaczających naturę ludzką, o potędze władzy przewyższającej moc

bogów.

Noc nastaje na ziemi, gdzie panował jasny syn słońca, zdrowy bożyc wcielony w ducha ludzkiego, wszystkowiedzący i wszechwładny rozum.

Nad borem znieruchomiałym i w głębokim pogrążonym milczeniu, nad łagodnym zachyleniem się drzew, które tworzy ostatnie zakończenie półwyspu - zakręt ukojenia - lśni pełnia księżycowa.

Za tym półkolem uciszenia łagodne morze w blasku miesięcznym igra srebrnym falowaniem.

Sen głęboki zstąpił na ziemię i na morzu panuje.

Zacichły ptaki w boru, mocno trzymając się swych łożysk snu zakrzywionymi szponami.

Zapewnię śpią nawet ryby, ocierające się wielobarwnymi łuskami i najeżonymi skrzelami o bujne, dziwaczne i fantastyczne krzewy wodorostów.

Nawet igranie morza z blaskiem księżycy nierzeczywiste jest i uroku pełne jak sen.

O śnie!

O niepojęta siła odradzania nas do życia rzeczywistego i przeistaczania w inną naturę!

Nasycasz ciało nowymi siłami, a w tym samym czasie nosisz nas o setki i tysiące mil od miejsc, gdzie powłoka nasza spoczywa.

Nosisz nas po przestworach i głębiach, czyniąc z nas istoty inne, niż jesteśmy na ziemi - lekkie, zwinne i lotne.

O śnie, tajemnicza potęgo!

Z żebraka i bezdomnego włóczęgi, zażywającego twardego wywczasu w przydrożnym rowie, czynisz króla o sercu radosnym, o myśli wspaniałej, o oku szczęśliwym na widok wiecznie nowego ogrójca radości, gdy słońce powstaje.

Z króla państw, monarchij, księstw, ziem i przestworów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, czynisz nędzarza najostatniejszego między ludźmi, z którego oczu potoki łez nadaremnie płyną, skoro zasnąć nie mógł w ciągu nocy nieskończonej.

O śnie!

O świecie radosnych krain i przygód nie do wiary!

Wracamy oto znowu z wypraw, z przechadzek, gdzieśmy widzieli doliny szczęścia cichego, anielskie oblicza i boskie wejrzenia - albo straszliwe piekieł urwiska. Wracamy na miejsce swoje w rządzie dwunogów i czworonogów, w oborze żarłoczości i trawienia, na metę walki o jado, legowisko i rozkosz miłosną.

A byliśmy przed chwilą podobni wiatrom i blaskom, podobni bogom i bogobojni, dalecy od siebie samych - albo byliśmy straszliwsi i obmierzlejsi dla siebie samych, ohydniejsi i bardziej przekłęci od szatanów.

Podobnie jak w morzu wzdyma się wodny garb, podobnie jak wyciąga się z oceanu ku księżycowi dziób chciwy, ażeby się do niego zbliżyć - tak samo z istoty człowieka wiecznie ku księżycowi po nocy cości wznosi się i wyrывa.

Istnieją w nas tajemne i niepojęte siły snu zarazem i czuwania, somnambuliczne stany pokonywania w blasku miesięcznym przeszkód nie do pokonania na pozór dla przyrody człowieczej, błędzenia po szczytach spadzistości, po gzemsach budowli i wstępowania z łatwością po pionowości ścian.

Istnieje w nas siła marzeń, na skutek blasku księżycy wyrывająca się z naszej zdrowej natury, pragnienie dotarcia do innej strony, zatajonej i niewiadomej, skrytej w nas, czającej się poza mięsożernym i trawożernym bytem, poza chuciami mężobójcy, zdrajcy i szpiega.

Porwani przez siłę marzeń obcujemy ze świętym Franciszkiem, ze świętym Aleksym i ze świętym Wojciechem.

Istnieje w nas siła zachwytu, który księżyc świecący nieci, ciągnie z nicości na zewnątrz, podnosi i wydobywa.

Dzięki temu zachwytowi wzdychamy i płaczymy za świętym naszym dzieciństwem, odczuwając niepojętą za czymś żalobę.

Dzięki temu zachwytowi odczuwamy niepomiarłą, bez powodu radość, iż nie jesteśmy zwierzętami i roślinami, lecz że duch w nas wolny przebywa, duch anioła wtrąconego do cielesnego więzienia.

Czarna kula, wywieszona w skwarny dzień letni na poprzeczniczy maszty semaforu obok morskiej latarni, postrach budzi na morzu.

Jaskrawa, czerwona latarnia, umieszczona w tejże kuli, gdy ciemna noc zapadnie nad lądami śpiącymi, podwaja i potraja grozę ciszy.

Czujna latarnia zdaje się oświetlać po nocy czyhające, zdyszane, zdradzieckie burzy oblicze.

O pewnej godzinie nocy daje się słyszeć huk daleki.

Świszczące wiatry dopadają półwyspu i ze wszech stron obskakują węgły domów. Wśród spłoszonego szumu gałęzi nisko zginają szorstkie czuby krzywych sosen. Czarny las szarpie się w mroku.

Deszcz chłoszcze starą karpiówkę dachów zzieleniałych.

Podmuchy zbiegano w bezkońcach morza, napotkawszy okienka domostw przyczepionych do piasku, nagle w nie tłuką i biją we drzwi na głucho zatarasowane. Ciemna jutrznia odsłania morze w pianach, skaczące w furii na duny od dżdżu szare.

Daleki, zbrudzony horyzont zasłany jest jak gdyby wzburzoną kurniawą śniegu.

Dzikie bałwany nie tylko się rozbijają, lecz zaprawdę roztrzaskują o brzegi. Zielone ich zawoje zwisają nad półcylicydrycznymi wnętrzami, przez nagły ruch polerowanymi jak stal a migotliwymi jak ogień.

Wiatr zdiera z nich pianę strzelistą i miota ją na brzegi dalekie lub na morze szalone.

Tłoczą się jedne na drugie plan istne zaspasy, miazga wzburzona i szumiąca po pękniętych denegach.

Długie drogi wlokącej się śliny od grzbietu do grzbietu wodnego znaczą podstępne i obłądne szlaki i ścieżki żeglarza.

Z dala pędzą niby wzgórze ruchome - ściągłe zaspasy ku lądom,

Na mieliznach podbrzeżnych w pół się łamią, przepękają w swej mocy i niweczają w swej sile.

W śmiechu pienistym wzgardliwego żywiołu huśtają się belki ciosane, tramy, ostro kończone paliszczka, pniaków korzenistych kadłuby, gałęzie z kory obdarte, wyrwane skądś deski i rozszarpane gdzieś szczątki człowieczego kłecenia.

Świszczący wiatr śmiga stronami i smaga wysoczyzny półwyspu.

Między Rozewiem a Sambią zalega ten ląd dziwny, mierzeja ponad stumetrowymi głębiami.

Skądże się tu wziął w czystych toniach, jak tu powstał - ni to przylądek, ni wyspa, po milionkroć przez wściekły żywioł zdobywany i po stokroć szarpiany na sztuki?

Tam, gdzie dziś cichy sosnowy bór szumi, istniał pono - jak głoszą klechdy uczonych - jakowys ląd, w jakowys morzu pradawnym.

Studnia w tym miejscu, sto z górą metrów w głębokość ziemi idąca, przecina piasku tylko dwa metry, dalej do dziewięćdziesięciu ośmiu metrów przewierca formacje dyluwium, a do stu sześciu metrów formacje kredowe.

Woda bijąca z wywierconego otworu - strzela w górę na dwa metry ponad poziomy powierzchni.

Kędyś tedy na łądzie dalekim, w jakimś wyżynnym jeziorze ta woda ma źródło siły swego wytrysku.

Mówią klechdy uczonych, iż ów osuch pierwotny począł w czasie narastać i grubieć, zanim grobla północna poczęła się jako rewa podwodna.

Grobla północna - dzisiejsze, piaski i niziny Wielkiej Wsi i Kuźnicy i obok nich kotlinowe głębie podmorskie - były ujściem przedwiecznej rzeki-olbrzyma. Szeroką paszczą swoją czy szeregiem strumieni w piaskach rytym - Wisła tutaj uchodziła do morza.

W prawieku, gdy lodowiec wspierał się o południowe Bałtyku wybrzeża, Wisła płynęła na zachód szlakami Noteci, ażeby w jedną rzekę splatać się z Łabą. W dzisiejszej jej delcie pod Gdańskiem stały jakoweś wody zakiste, olbrzymie zasiąkla, jeziora i błota, z których wody uchodziły na zachód, poza kępą Oksywia, torfowiskiem Gdyni i Redy.

Gdy zaś lodowiec zupełnie aż do Skandynawii ustąpił, Wisła przebiła się ku północy.

Wciągnąwszy w siebie i zagarnąwszy ze sobą zasoby olbrzymiego gdańskiego rozdołu, z jezior, z błot, ze strumieni ciekących, od strony Laskowic, od Prabutów, od Dzierzgoni, spłynęła ku północy.

Szeroką drogą swoją pogarnęła się ku dawnemu rozdołowi między dunami i kępami, gdzie dziś rozpostarte leżą torfowiska Chylonii, Cisowa i Rumii.

Poprzez terażniejsze Bruckie Żuławy, między Osłaninem i Rewą wlewała się w łożysko leżące dziś na dnie morza, gdzie torfy przysypane piachami spoczywają w głębinie trzydziestometrowej.

Kędyś między Wielką Wsią i Kuźnicą szła między szory głębokie, słowińskie. Niezliczone jej potoki, złościące drogi swoje skroś gór i rozłogów olbrzymiego kraiszcza, wynosiły w ciągu długich stuleci, podczas pełnowodnych wylewów i czasu wiosennych roztopów muły i piaski, kamienie przymarzniete do płynącej kry lodów, olbrzymie pnie drzewne o trzymetrowej średnicy, które do dziś dnia leżą w piaskach międzymorza, nie na jego ubogiej wychowane glebie, lecz przyniesione z bezbrzeżnej polskiej dziedziny.

Dwa wielkie skrzydła tego przedwiecznego Wisły łożyska nieznane są, albowiem w morzu na zawsze zginęły.

Jedno od Gdańska do Gdyni, drugie od Rewy do Wielkiej Wsi i Kuźnicy.

Obadwa pochłonęło morze, które wiekuiście wyniosłe kępy ujada, a przyległe do nich niskie łądy na dno swoje potraça.

Widnieje tylko szlak ziemski między Gdynią i Rewą.

I dziś jeszcze Wielkie Morze czatuje, ażeby się wedrzeć na błota karwińskie, torfy ich piaskami zasypać, a z wyżyny Rozewia uczynić międzymorze, które by kształtem swoim głowę bawołu tworzyło, z dwoma - helskim i karwińskim - rogami. Z pracy Wisły przedwiecznej, której długości i wielkości nie podobna ogarnąć myślami, powstały olbrzymie złogi mułów, piasków i kamieni, które morze zwycięskie wdarłszy się w te obszary mełło i wyrzucało za siebie.

Przez wieki tworzyło wał - zrazu podwodzia - płytką rewę, szereg mielizn i haków - potem groblę nadwodną, stałą cienką mierzeję, nieraz rozszarpaną w stu miejscach, która kępę dawną Helu z kępą Swarzewa złączyła.

Jak teraz przed zdumionymi oczyma wędrowca odkrywają się tajemnicze doliny, rozdoły w lasach pochowane, biegnące ku zakisłemu i w posepną wilgoć otulonemu łożysku, urocznie samotnie Starego Kacka, Witomina, Chwarzna, Chyłońskich Pustek i Łężyc - prawdziwie z tatrzańskich regli tutaj przyniesione i w nadmorskim osadzone nadbrzeżu przez bożyszczcze złudzenia - tak samo wielką rzekę przeszłości wyraźnie ukazuje nam w tych miejscach pamięć wyobraźni.

Ukazuje nam ją zachwyt nasz - Prawisłę - lechickiej ziemi pracownicę olbrzymią. Puszcze niezbrodzone, pierwobory dla siebie samych rosnące nad jej brzegami błękitnieją w oddali,

zielenieją w pobliżu. Śnią nad jej urwiskami samotne święte dęby i samotne święte lipy, wszczepione olbrzymimi korzeniami w żwiry i gliny, przez tajemnicze siły lodowców uzgarniane, w szczyty i zbocza gór Radiowa, Oksywia, Białorzeki i Dębogórza.

Jak za dni naszych mewy białoczelne nad jej szerokim wodnym przestworem rytmem rwanym, w sposób niewysłowienie uroczy, miotają skrzydła długie i wydają krzyk swój bojowy - ongi tak samo.

Jak za dni naszych, tak samo drzewiej i zawsze zagony łososi idą w przedwiośnia zgodnymi i wiecznie nowymi pochody w górę jej popławów, z morza szumnego aż do podnóża gór tarzańskich, skąd jej zimne, przeczyste źródła biją.

Jak za dni naszych, skoro na Małym Morzu i przy brzegach wysokich lody stopnieją, a południowy wiatr gorącym tchem powieje, tak samo ongi hufce łososi ciągnęły z lodowato zimnych okręgów polarnego oceanu ku słodkowodnym bławej zatoki toniom.

Jak za dni naszych, tak samo wtedy pędziła je w górę tajna potęga miłosnej rozkoszy z modrych mór w blade Wisły rozlewisko.

Jak za dni naszych, tak samo drzewiej i zawsze zastępy ich szły uszykowane według odwiecznego porządku,

Ciągnęła i ciągnie zawsze na przedzie największa srebrnołuska i bezplamista samica o wielkich uzębionych szczękach i kościach paszczy najeżonych ostrymi kielcami.

Za przodownicą płynęły i płyną jedna za drugą w odstępach jak gdyby na cztery stopy człowiecze wymierzonych samice mniejszego wymiaru i młodsze.

Za samicami płynęły i płyną samce w odstępach jakby na cztery stopy człowiecze odmierzonych.

Za samcami płynęły i płyną młode w szyku porządnym, przypominającym co do kształtu klucz dzikich gęsi, gdy lecą z północy w południe.

Skoro piękna panowała pogoda, płynęły wierzchem wiślanego wartu z szumem, który łudzi ucho, jak gdyby nadejścia burzy.

Skoro nad krajem przelatowały wichry, pochód grona łososi zapadał na dno i w ciemnicy wodnej ciągnął w górę po trzy mile na godzinę.

Wówczas w łożysku starej Wisły nie przerażał ich tak jeszcze wysmukły napastnik i zdrajca.

Z czasem nauczyły się czujności, bojaźni i lęku wobec jego złowieszczej postaci - wszystkich kształtów i kolorów, które z nim są złączone - barw białych, czerwonych, jaskrawych - oraz ostrożności wobec wszelkich nieznanymi hałasów i dźwięków.

Skoro przebiegły napastnik począł stawiać jazy u brzegów, a w warcie rzeki drygawice, w których niejedyn ród wędrowny wyginał, przodownica nauczyła się poznawać wrogie sidła i złowieszcze zasadzki.

Napotkawszy je w swojej drodze, rzucała się w skok, niemal w lot, i mknęła jak błyskawica.

Za nią tymże szlakiem niewidnym, niemal lotem, szył wszystek szyk szybujący nad przeszkodą.

Jeżeli zaś zasadzka nie była do przebycia lub przerwania, przodownica w kłęb zwijała swe ciało i przeskakiwała pułapki. Zginała się jak sprężyna przybliżając widłową płetwę ogona aż do wystającej szczęki swej paszczy, nagle rozprężyła zwinięte koło swego długiego kadłuba, z całą potęgą uderzała bokiem o wodę i odbiwszy się od jej powierzchni na pięć i sześć stóp w górę, przeskakiwała zaporę.

Za jej rozkazującym przykładem czyniły to samo wszystkie osobniki zagonu, aby za chwilę ustawić się znowu w dawny agmen i z ogniem niesłabnącym gnać w swoją stronę.

Skoro zasie dosięgły wód bystrych, zimnych a nieskalanych, przelewających się ponad dnem zwirowatym Białego i Czarnego Dunajca, przodownica w towarzystwie kilku samców obierała miejsce na tarło.

Zwróciwszy się głową w stronę polotu wód bystrych, tarła się brzuchem o chropawe dno rzeki, ażeby ze siebie ikrę wycisnąć, która się w małym zagłębieniu dennym gromadzi.

O to miejsce, o prawo i możność polania ikry swym mleczem, samce wiodą między sobą bitwy zawzięte.

Młode łososie składają wcześniej swą ikrę, toteż wcześniej wyhodowuje się ich brzuchate potomstwo.

Wcześniej wykarmiają się młode rody, własnym żółtkiem pasąc i kształtując organy, serce i nerwy.

Młode, wysmukłe łososie, z głową spiczastą i grzbietem pręgowanym brunatno, w listopadzie wracają do morza.

Stare trą się znacznie później i do morza wracają aż w grudniu.

Będąc ze swojej natury istotami słodkowodnymi, ci wieczni wiślni oryle, zapędzeni na słony ocean, po którym góry lodowe żeglują a niezmierny wieloryb gejzery ze siebie wyrzuca - wracają niezmiennie do dawnej ojczyzny ich rodu. A w drodze swej ku wyżynom skalistym nie pożywiają się niczym, lecz łakną, schną i niszczeją.

Stają się jako strzały, które w upodobaniu niepojętym lecą do miejsca zarania swojego gatunku.

Znana im jest jakaś postać furii miłosnej, szalu z tęsknoty do świętego źródła, które wypiastrowało ich rodzaj w swej przezroczyściej głębinie.

W głodzie i szaleństwie poprzez wieki zamierzchłe i czasy idące drgają w Wiśle rzece te żywotwórcze struny.

Po tych zboczach, pagórkach, polanach i piaskach, przyniesionych przez wody płynące, przebiegała szybka stopa człowieka, od znużenia bezsilna.

Mogła jego tu i tam leży na wzgórzu.

Rozlegał się nad szeroką wodą płynącą i budził łoskot echa w puszczy nad morzem jego krzyk wydany w pościgu i w głodzie.

Łuk nagięty jego dłonią bolesną miotał upierzone strzały w piękne białe piersi morskiej mewy.

Zabijał czajki, rybitwy, nury, burzyki, kormorany, kuligi i perkozy - strącał z niebios dzikie gęsi, kaczki i piękne kiełpie, wolne łabędzie, gdy w południowe krainy z krain północy leciały.

Kamienny młot człowieka uderzał w furii we włochatą pierś zwierzęcą.

Jakże brzmiało imię miłosne, którym przyzywał z oddali towarzyszkę?

Jak brzmiało słowo pieszczoty, wycmokane w stronę kolebki z wikliny?

Jakie nazwy nosiły przedmioty i suma ich, widok tej ziemi - prawa i złudy, których istnienia nauczyło go uczucie głodu i uczucie honoru?

Siła jego i zastępujące siłę oszustwo przewaliło się poprzez siłę niedźwiedzia i tura, wilka i łosia.

O potomne mewy, o bezpamiętne ptaki, które z wyżyny swojej tyle widzicie!

Czy, takie same jak my żywiąc uczucie bolesnej a niewytrzebionej miłości swego potomstwa i gatunku, macie i inne nasze uczucia, przesady i przywary?

Pamiętacie każda z osobna jako ród, jako zbiorowisko, aż do najdrobniejszego szczegółu, aż do najlżejszego porozumienia, co czynił praojciec i pramatka przed niezliczonymi wiekami.

Macie jakoweś niezłomne prawa rządzące państwem skrzydlatym.

Lecz czy macie jakiegokolwiek wspomnienia? Tyle widziałyście siedząc na swym dziedzictwie przez wieki, na rewie między Kuźnicą i Rewą, odkąd się z wód wychynęła! Może podajecie w swej mowie, w swym zbiorowym rozgwarze, w zgiełkliwym swym obmowisku, w wynurzeniach krzykliwych i nachalnych jakoweś swoje klechdy i dzieje.

Może porozumiewacie się swoim sposobem, tak jak ludzie swoim, o chytrych sposobach szubrawstwa, o sztukach czyhających morderców, o nienasyconym łaknieniu i nienasyconym pragnieniu wśród wiekuiście tych samych odgłosów morza ślisko i chrapliwie bijącego o nagie te brzegi. Może wydajecie jedynie głosy bezmyślne jak drwal rozszczepiający zrosty pniaka, które się nie poddają rozłączeniu, jak rataj młócający grubą ściółkę snopów na klepisku, która z kłosów nie chce ziarna wydawać.

A może widzicie coś więcej niż my, ludzie. Może widzicie nie tylko piaski wybrzeża i morze ochryple na piaskach szumiące, zatoki i przylądki barwiste, podobne z oddali do głów gołębic i do ciał meduz barwiście kraszonych?

Może wiecie coś niewiadomego nikomu o cieniach, które czas pożarł i wchłonał, a przeszłość zagrzebała w sobie?

Może widzicie jeszcze ciała, które tu przechodziły wydając krzyk walki i pracy, może pamiętacie ziemianki, osiedla, chałupy z chrustu i miasta, miasta tak zatopione, iż ich nie widać poprzez najczystsza wodę, i tak zagrzebane, iż z nich został nad wądołami gruzu tylko badyl wysmukłego ostu o kwiecie bladoróżowym, róża dzika i kępa szarej mietlicy, która się za wiatrem pochyła? Nie odpowiecie nam nigdy, gdyż niezrozumiała jest wasza mowa, spiskująca wieczyście przeciwko podstępowi zabójców.

Mowa wasza skazana jest przede wszystkim na wyrażanie spraw głodu, miłości, ucieczki i napaści.

To my, wędrowcy ziemi, którzy już nie zabijamy, którzy potępiamy śmierć wszelką, którzy uwielbiamy wieczne życie w jego prawdzie i w jego złudzie, skazani jesteśmy za wszystkie twory ziemi na pamiętanie o wszystkim.

Lecz ptaki niebios i ziemi bardziej, głębiej, szczerzej i piękniej od nas uwielbiają piękność i wolność istnienia.

Wznieśmy się z naszych podziemnych nor, z kanałów, jam, piwnic, z zatęchłych domów i stańmy się w uwielbieniu wolności i piękności istnienia do wolnych i pięknych ptaków podobni!

Uwielbiamy po społu z nimi piękność wiekuiście, minioną i dzisiaj żywą.

Uwielbiamy pochody słońca nad lądami, które są, i nad rzekami, których już nie ma - wschody i zachody, wznioślejsze w swym czarodziejstwie ponad śpiew ptasi i ponad słowo człowieka - nawroty wieczne a nigdy nie ulegające odmianie.

Uwielbiamy zawsze na nowo niespodziewane a wieczyście nawracające się o swej godzinie wędrowki księżycy w nocnych niebiosach według odwiecznych, niezłomnych, świętych zakonów, wśród olśnionych przezeń obłoków, których połyski i cień zachwycają po wszystkie czasy duszę człowieka.

Wznieśmy się w radości naszej ponad utwierdzenie, w przestwór elementów i nad niezmierzone bezgranicza morza.

Mierzeja prastarej Wisły, a później, gdy morze ujście jej zatopiło i w sobie pochłonoło - międzymorze - wąska grobla między wyspą Helu i kępą Swarzewa, przybrała w ciągu czasów kształt miecza o potężnej rękojeści, strzelistej, wąskiej i niezmiernie długiej klingi nasadzie, która ku swemu końcowi rozszerza się i rozrasta na podobieństwo "małodobrego" miecza katowskiego.

To podobieństwo zwiększa jeszcze wycięcie południowe zatoki między przylądkiem Starego Helu i ostatecznym cyplem półwyspu.

Brzuśce miecza zwrócone jest w pełne morze. Brzuśce to, które można nazwać ostrzem, gdyż narastając bez przerwy, wciąż się niejako naostrzą snadziznami na poły widocznymi, szeregiem niskich płycizn, nad którymi zielenice szumią.

Brzuśce to jest gołe, nagie, śnieżnie białe od piasków najsubtelniejszych, stalowoniebieskawe od fali wiecznie żywej, na płask po tym ostrzu chodzącej, stalowozielonkawe od łąnów wydmuszycy, jasnozielone od porostów sosnowych, od karłowatej puszczy zarastającej zasy-doliny.

Trzy równoległe rewy zalegają wzdłuż ostrza od strony Morza Słowińców.

Pierwsza - osuch - na czterdzieści kroków od brzegu a na dwie stopy pod wodą - druga na sto pięćdziesiąt kroków od brzegu w głębokości siedmiu stóp pod powierzchnią - trzecia o sto pięćdziesiąt kroków dalej za tamtą, w głębokości dwudziestu stóp pod wodą.

Zachodnia i południowa połączają lądu, ziemia stara - insula Helae - ma kolor głębokiej, zieloności, gdyż ją od niepamiętnych lat porasta bór na wielkiej przestrzeni, wydłużający się na kilkadziesiąt kilometrów.

Środek, północne i wschodnie połączenie zadrzewione są młodą sośniną, sadzoną dawniej w kwadratach osłony. W młodym swoim wieku i rozroście ten przysły las przypomina do złudzenia tatrzańską kosodrzewinę.

Kosówka Helu, tam i sam w pień już przechodząc, przybiera kształt przedziwnie wykrętny, fantastyczny, pochyły, rozwidlony.

Na piasku, przysypanym warstwą igieł, które wiatr po śliskich i okrągłych powierzchniach rozmiata, pokazuje się pierwszy porost, futro mchu szedziwego. Rozsiadłe zwartymi kępami te istne liszaje ziemi przybierają barwę piasku zmoczonego od deszczu.

Ta odzież ziemi bezpłodnej, niemal pozbawiona korzeni, oddziela się odeń bez trudu, odpada za najlżejszym potrąceniem.

Sosenki pełne, których krzywe, boczne gałęzie uschły już i odpadły, obwieszane są również mchami suchymi, mnóstwem zeschniętych chrapeców i nie strąconych jeszcze igieł.

Wszystek ten zasób wyschnięty wicher wnet zedrą i po kozuchu mchów poroznoszą, ażeby z czasem utworzyć nową próchniejącą warstwicę.

Zatrzyma się w niej kropla wilgoci i wystrzeli trawka najpierwsza.

W zagłębieniach i dołkach wychynie rdzawa mietliczka, wybiją się złote główki ostromleczka, skabioza polna o kolorze morza w dzień wietrzny.

Na grubych pokładach igieł zapachnie wonny miodownik i dziewica rzadko spotykana, pani tych stron - koniczyna.

W mokrych jamach, w głębiach zakisłych, gdzie woda długo się trzyma, wystrzela szorstkie sitowie.

Postać zasp piasku, które ten cały kraj utworzyły, odzwierciadla w sobie niestałość, zmienność i dowolność morskiej fali, która je ze siebie wyrzuciła.

Jedne z tych wyżyn ciągną się nad brzegami wschodnimi, tworząc łańcuch niestały fal piasku tak dużych jak Bocianiec albo Szwedzkie Góry - inne tworzą dowolne kwadraty i trójkąty rozdołów otoczonych nieregularnymi kopcami.

Strome duny piaszczyste wyskakują zniemacka w środku najszerszego rozłogu, gdzie już sosny olbrzymie stoją u ich podnóża.

Te wzgórza zbyt wysmukłe, o zboczach zbyt stromych, do których roślinność przyczepić się nie może, skoro mchy pierwotne osunąć się muszą, a suche igły zmiecione zostały - zsypują się i spychają w sąsiednie rozdoły, i płyną przed siebie suchą rzeką piaszczystą.

Często wędrująca rzeka piasku zasypuje wielkie drzewo sosnowe na wysokość dwu i trzech metrów od podstawy.

Sosna zasypana nie umiera, lecz szuka korzeniami nowej warstwy żywej, która się na nowej powierzchni wytwarza.

Zapuszcza w nową dunę swe wzniesione korzenie.

Lecz nowa nadchodzi ławica i znowu przywala suchym piaskiem jej żywe, zielone gałęzie.

Skoro pozostawiony dla stóp ludzkich szlak w lesie igły smolne przysypią, wnet staje się on posłusznie twardym i równym chodnikiem.

Z prawej i lewej strony przybiegają do tego wolnego przesmyka wrzosa tak gęste i rozrosłe, iż stanowią niezbrodzone zagaja.

Nigdy pilny ogrodnik nie zdoła tak wycyrklować swej ścieżki w kwietniku, jak to czynią nadobne wrzosa na Helu oraz pokrewne im wrzosowiec, rodzące tylko tutaj swoje czarne jagody.

Ścieżka otulona kępami kłębiącymi się nad nią, równa wszędy i wszędy jednaka, biegnie w dal, w coraz inne, coraz odmienne pustkowie. Przemierza kilkadziesiąt kilometrów błogosławionej samotni którą tylko czasami złotolita sarna zakłóci, a sikorka sosnówka nieśmiałym świstem przesyje.

Dokądkolwiek poniosą mię nogi od nadbrzeżnych zasp piasku, wszędzie zastępują mi drogę kopulaste wydmy szare. Przewidujący umysł niemiecki i pracowite ręce niemieckie zalesiły je sadząc małe drzewka sosnowe. Ażeby wiatr nie zdmuchnął bezsilnych sadzonek po społu z lotną i sypką samej wydmy powierzchnią, przewidujące ręce ogrodziły każde półko kwadratem kołków gęsto bitych.

Tam i sam widać jeszcze próchno kwadratów ogrodzenia.

Gdzie indziej samo próchno wiatr po okolicy rozrzucił.

Na miejscu małych sadzonek las się puścił wspaniały.

Wilgoć podspodnia, którą piaski przechowują w sobie i trzymają długo niczym gąbka, żywi zielen igiel i szyszek, hoduje olchy i brzozy, karmi buki i lipy. Ogromne pnie i strzeliste konary starych sosen, pochyłe w stronę wschodu, koloru miedzi czy złota starego, koloru ciał ludzkich spalonych nad morzem od wichru i słońca, przerzynają olbrzymie rozlewisko zieleni.

Tu i tam z morza jednolitej zieleni wydzielają się kudłate i rozwiane brzoź czuby.

Stary, nienapatrzony helski lesie!

W letni, cichy poranek i w pogodne letnie odwieczrze jakże jesteś przychylny dla znużonego wędrowca!

Zapach żywiczny wylewa się z twojej głębi, a niezliczone twe korony chronią wewnątrz od wichru.

Najsroższy orkan - ost czy west, Siewierz czy zyda - bijący w wybrzeża i roznoszący huk morski po całym tym kraju, do twojej głębi nie dotrze.

Zarośnięte trawą i zasypane igłami drogi twoje prowadzą w ostoje coraz bardziej zaciszne, w spokojność zupełną i w samo sedno pustkowie.

Wciąż nowa rozsuwa się przed oczyma ziemia morska, garbata od dun i kopców piaszczystych, przestrzeń zaświatowa, melancholii pełne siedlisko milczenia.

Z potężnego pnia sosny, skoro tylko wydostał się z zasy piaszczystej na zachodnim przylądku, wyrastają tuż przyziemne konary.

Wystrzelają równolegle do ziemi albo z góry w pałąk wygięte kierują się ku niej. Ścielą się grubymi ramionami o kolorze miodu żółtego po miale zszarzałym i do zimnej powierzchni się tulą.

Odbiegłszy zaś kilka kroków od śniata, wszczepiają się w zwiewną górę, nakrywają omszonymi piaskami, znikając w nich do znaku.

Dopiero dalej z nagłą wystrzelają spod ziemi koroną niezliczonych, bujnie zielonych gałęzi.

Z tych podziemnych konarów wyrasta płatanina krzywych gnatów, istnych postronków, żółtych lin i koślawych zawitek.

Zachodząc pod się i opasując jedna drugą, przeplatając się w ukos skutecznymi podchwytami,

zadzierzgając nierozzerwalne pętlice i supłając grube węzły, planowy ów zespół gałęzi opiera się zachodniemu wichrowi.

Srogi i nigdy nie wyczerpany w swojej sile wiatr zachodni zdziera mchy szare i zielone, odmiata złogi igieł, odgarnia i przepędza warstwy piasku i obnaża niezmiernie daleko rozpostarte czarne węzowisko potężnych korzeni.

Korzenie ocapiają kopiec wydmy w poszukiwaniu wciąż nowej, wilgotnej warstwicy.

Srogi i nigdy nie wyczerpany w swojej sile wiatr zachodni pochyla na wschód pnie wszystkie i w tamte stronę każe się zginać gałęziom.

W tamte stronę zwracają się zielone korony, osypane szyszek młodocianych niezliczoną ilością.

Za wałem piaszczystym, który morze wygarnęło ze siebie i usypało na brzegu w niezbadanych swych zamysłach, czają się pnie koślawe, garbate, skręcone. Przysiadłszy, niczym ludzie strudzeni, ubodzy, ścigam przez prawo okrutne, straszliwe i wieczne, za ścianą przychylną żyją cichcem, ukradkiem, pokornie. Rosną wszereż i na poprzek, gną się w głąb, leżą w piasku, unikając wychylenia się koron ponad grzebień zasłony.

Rozpościerają się po ziemi w pałąk skulone i suną w dal po kryjomu.

Wypuszczają długie liny gałęzi, niepomiernie rozległe ścielą wici obwieszzone zielenią przyziemną i czubatymi szyszkami.

Zielone kępy igieł szarpane od wiatru rozmiatają pod sobą piasek duny i żłobią wygładzone łożysko.

W miarę igieł rozrostu i w miarę przybywania ciężaru same zapadają w ów dołek, wygrzebany samoścąc.

Zanurzają się w grobie-kołysce, którą same pod przymusem żłobiły.

Wicher pomaga w tym dziele. Zsypuje do tego schroniska stare igły uschnięte, pożywne, gdzie indziej zdarte z wierzchołków, tułające się po gładkich pochylniach szyszki suche, wałeczki gałęzi spróchniałych, mchy wędrownie, wiórki kory.

W zakamarku gromadzi się pożywienie, omasta i wilgoć, z których wystrzela pierwsza kępka trawki kostropatej o kolorze zdziebełek, podobnym do piasku i o kolorze wiechy, podobnym do morza siwizny.

Nowy przybysz do nadmorskiej krainy kołysze się i pochyla ku wschodowi, jakby był wizerunkiem i wskaźnikiem drogi wichru dmącego z zachodu.

Za piaszczystymi wydmami, gnane przez wicher zachodni, wre, w prysk się samorzuca i huczy Małego Morza bujowisko.

Od brzegów na poły widnych przybiegając, które w dalekich pianach się kurzą, a giną kędyś w stalowej zarazem i rudej ruchawie, gnają w kierunku helskiego utwierdzenia ciemnozielone przewały, białymi gęsiami piany gęsto nasadzone. Trafiając na mielizny podwodzia i na spychy suche zwara bałwanów wzmaga się w swej sile, rośnie w bryły strzeliste i zwiija się w kłęby podsięwodne.

Z hukiem pękają rolingi, uderzając o wzniesienia wiszarów.

Strzępate ich piany zlatują z grzbietów kipieli na wyślizgane ławic obnażenia. Syczącym rozsnuwaniem śliskich zalotów i postrzępionych wybiegów nasycają podsypiska.

Piaski wybrzeża, przepojone już pianą, przyjmują falę za falą i nieskończenie każdą odtrącają.

Najdrobniejszy piasku kamyczek, najmniej widoczne ziarenko, najmniej dostrzegalny pyłek znajduje swoje łożysko, układa się w jamce swojej i na wieki w niej pozostaje.

Grzmiące upadki zielonego podplusku raz wraz ubijają powierzchnię, aż się stanie nieskazitelną pochylnią, zaokrągloną u góry, twardą w sobie i bez ochyby wygładzoną.

Z łona wód wydana została ta wąska i strzelista ziemia.

Morze rzuciło ją naga, białą od rozległych wzgórz i niw piasku, nie odzianą ani jednym liściem, nie osłoniętą ani jednym cieniem, na hodowanie słońcu, wiatrom i deszczom.

Lecz morze pamiętało i pamięta o podrzutku, wciąż go tajemnie podsycza i wspiera niczym dziecko rosnące.

Żywiołem swym przejrzystym a niezmiennie wzburzonym okrywało niegdyś najwyższe jego wzniesienia.

W jego nieustającym pracowisku otłuczone zostały, ogładzone w kształt kulisty i podługowaty, wyszlizgane w tysiacych podrzutach głady opok, przyniesione z okolic dalekich.

W ciągu niezmiernej długości dni i nocy złomy granitów tatrzańskich, kwarców, piaskowców i zlepieńców meły się pośród biegów i nawrotów nawałnicy na okruchy, na żwir i na piasek.

Od pogranicza do pogranicza epok trwają prace rozszarpujące obszary Rozewia, Swarzewa, Oksywia, Kamieńca, Radiowa, Orłowa.

Niszczą góry-doliny, których już śladu nie ma, przyczółki wyniosłe, spiętrzone ponad, czterdziestometrowymi Bałtyku głębiami.

Gdzie wystają złomy wielkie z radłowskiej mielizny, gdzie wełny się pienia nad oksywskim zburzyszczem i gdzie się ciągnie mała głębia karwińska, usiana potężnymi gładzami, ongi śmiały się w słońcu wyniosłe czoła ziemi, z których jeno zostały nazwy głuche, z normandzkiego napastnika mowy wyjęte, by o formie ich świadczyć.

Morze z nich inne utworzyło postaci - płaskie, rozciągnięte u podnóża wydmuchów, śnieżyście białe, nasycone słońcem i solą - mielizny na ostrzu północnym i wschodnim a spychy na południowej i zachodniej płazie miecza helskiego.

Dla pełnienia tej pracy morze przeznaczyło dwie siły wyłączne, dwa morskie prądy, dwie rzeki w morzu pracujące dla Helu.

Jeden z tych gońców, zdążający z zachodu ku wschodowi, wprawiany jest do biegu przez wiatry z zachodu, które niemal połowę dni roku wypełniają swym czynem. Od przylądka Rozewia pędzi w odległości jednego kilometra wzdłuż helskiego wybrzeża, żłobiąc głębokie w dnie łóżysko, które się za zielenicami przybrzeżnymi nagłym uskokiem dna podwodnego i czarną barwą powierzchni zaznacza.

Przy ostatnim przylądku południowym całości międzymorza, przy dziobie gołębia, szor zachodni znika w zatoce.

Przebiwszy się przez nią, przemknąwszy wskroś jej głębin, zjawia się przy wiślanej mierzei. Wzdłuż tej mierzei posuwa się aż do Sambii i tam się na wschód wykręca.

Prąd zachodni przynosi na północne i wschodnie mielizny półwyspu piaski doskonale zmielone, gładko otoczone żwiry i okruchy żywota morskiego. W głębi swojej niesie sól do lądu helskiego.

Przy wietrze z północno-zachodu wnosi do Gdańskiej Zatoki szybkie swoje wody prąd inny, prąd wschodni.

Od lądów sambijskich zdąża on wzdłuż mierzei wiślanej i łączy się z postrachem ryb słonmorskich, z białą wodą wiślaną, wypadającą z paszczy Leniwki. Prąd ten przemierza obszary Sopotu, Radiowa, Gdyni, Oksywia, wykręca się przed Pucką Zatoką i mknie wzdłuż Czajczej Rewy, która między Kuźnicą i Rewą Małe Morze przecina.

Prąd wschodni, przynoszący do Gdańskiej Zatoki olbrzymie masy namulów i piasków, tnie w wysokie brzegi między Sopotem i Oksywiem, a pod tym samym kątem odbity, składa przeważną część swych darów powyżej Kuźnicy, na wysokim helskim wybrzeżu.

Potem mknie wzdłuż międzymorza, zostawiając na jego południowych wybrzeżach grube złoża na poły zmielonych kamieni, muły znacznie od zachodnich tłściejsze, piaski nie tak sypkie i większą niż

z pełnego morza wodorostów obfitość.

Ta masa wodna, nieraz podnosząca poziom Wiku o jeden metr ponad równię Puckiej Zatoki, spotyka się przy dziobie gołębia z silnym prądem zachodnim.

Obadwa mowią się tutaj na siłę i z dwu stron wyrzucają swe żwiru i piaski. Powstaje w miejscu ich spotkania nikły, najostatniejszy podwodny przyładek, ławica ruchoma, która się to w tę, to w tę stronę zawija niczym czapki frygijskiej górne zakończenie.

Wewnątrz tej to zawitki tworzy się maleńka zatoka, w której wir nieustanny świdruje głębinę.

Tuż za zmienną i kapryśną czapki frygijskiej zawitką czatuje czarna, na pięćdziesiąt metrów uskokiem spadająca głębina.

Obiedwie morskie rzeki, zachodnia i wschodnia, pędzące w nieustannym pościgu wzdłuż obudwu brzegów Helu, usiłują powiększyć niezmiernie jego rozmiar i sześćdziesięciometrową głębinę gdańskiego jeziora do szczętu zasypać.

Przed wiekami żeglarz na morzu zbłąkany, spoglądający wciąż w niebo, ażeby szukać wskazówek zwiastujących koniec burzy, nadejście pogody i znaki kierunku tej strony, w którą mu dążyć wypadło, spostrzegł, iż istnieje współzależność przyływu i odpływu oceanu od ruchów wielkich światła niebieskich - od księżyca i słońca.

Rybak trudzący się w swej łodzi około rzeźby wybrzeża widział, iż powrót każdego następnego przyływu odpowiada niezmiennie przejściu księżyca przez tę samą linię na niebie, naznaczoną myślami i oczyma.

Patrząc na przemiany pięknej nocnej pochodni - zjawienie się na nowiu, jaśnienie w kwadrze, przepych pełni i dogasanie w odejściu - obadwaj spostrzegli, że i przyływ zmienia się regularnie, zyskuje na sile, staje się bujnym i zuchwałym, ażeby później stopniowo się uspokajać, z dnia na dzień skracać i cofać swe wypady w miarę zbliżania się granicy księżycowego miesiąca.

Wędrowcy w pustkowiach oceanu zbłąkani dostrzegli, iż wiosenne i jesienne porównanie dnia z nocą - okresy syzygiów - były zawsze sprzężone z potężnymi wylewami przyływów.

Skandynawskie bożyszczę sił powietrznych - Thor wszechpotężny - rogiem swym, który zanurza w głębokości oceanu, podnosi żywioł, a boskim tchem zniża go znowu na przemiany.

Potężniejsi w mądrości swej od bogów - Kepler i Descartes, Newton i Laplace wyświecili, w jaki to sposób przyciąganie słońca i księżyca wywiera wpływ na ruchliwe morza powierzchni.

Mówi legenda ich, iż w przestworach oceanu pędzą dwie fale, wydźwignięte przez księżyc i słońce.

Dwa wielkie bałwany, zrazu samoistne, a wnet w tę samą jedność i masę złączone, nie rozstają się ze sobą w biegu dookoła globu, ze wschodu dążąc na zachód, czyli wbrew ruchowi ziemskiego koliska.

Nów księżyca, w tym samym do nas tkwiący kierunku co słońce, dźwiga z oceanu dwie fale i tworzy przyływ wód żywych, czyli syzygiów, czyli złośliwy, czyli zzieleniały.

Wielkie wyżyny stromych skał doznają napaści wód, a dalekie płaskie okolice stają się dnem oceanu.

Podczas pełni, gdy tarcza nocnej Seleny, całkowicie oświetlona, znajdzie się względem słońca na zupełnie przeciwnym biegunie, powstaje również przyływ syzygialny, skoro działanie dwu niebieskich ciał z dwu stron globu sprawuje jego podźwignienie.

Znając drogę ziemi w przestworach, badacze niebios i badacze ziemi mogą jak bogowie przewidzieć przyszłe wahania się fal, mogą wyrysować drogę ich, krzywą dla przyszłych wieków, które kiedyś nadpłyną.

Lecz wichry, zawsze niestałe, i zmieniająca się nierówność dna w głębi morza - płacze ich boski

rachunek.

Skądże się bierze prąd zachodni, rzeka stała w wielkim Morzu Bałtyckim, szor przebiegający wzdłuż helskiego wybrzeża?

Czy tylko wiatry zachodnie wpływają na jego powstanie?

Wszak bełta masy wód słodkich, przez wielkie rzeki z lądu wyniesione, i nasyca solą oceanów odległych to niegdyś słodkowode jezioro.

Może w wielkim basenie wód Południa, którego oceany rozliczne są jeno gałęziami, mieści się kołyska tego ruchu?

Może to aż tam ku słońcu i ku tarczy księżycy wyciąga się garb wodny, który później niestrzymanie pomyka, żeby się o brzegi Ameryki wygrzane w upałach objąć, dzwonić w zimne kolosy skandynawskie i podnosić obrus wodny w fiordach?

Na wybrzeżach francuskich i wysp Wielkiej Brytanii przyływ nadbiega z południowego śródmorza, a w swym ruchu wzdłuż brzegów wstrzymuje się nieodmiennie według pierwotnych poruszeń, jakie sobie wytworzył wpośród osierdzia oceanów przez przyciąganie księżycy i słońca.

Na Morzu Północnym, w pobliżu Pas de Calais istnieją okręgi równowagi żywej i martwej wody, jak gdyby czopy nieruchome, na których zawisają ruchome wrótnie przyływów.

Tu wody wahają się wśród wybrzeży Holandii i Anglii, zależnie od prądów atmosfery, biegów morskich i ruchu ciał niebieskich.

Tam to schodzą się dwa przyływy - jeden dążący z Atlantyku, drugi przybywający z Morza Północy, a w miejscu ich spotkania wzniesienie się wody jednego metra nie przekracza.

Wahania się przyływów i odpływów złączone są ze zmiennymi prądami, które zachowują się tak samo jak przyływ i odpływ.

Zjawisko to widać najlepiej u ujścia rzek lądowych o wielkiej masie słodkiej wody.

Prądy, które się wytwarzają w cieśninach z racji różnicy poziomów, nabierają siły olbrzymiej przez swoje zmiany porywcze, przez zakręty i wiry.

Są to najniebezpieczniejsi szybkobiegacze oceanu. Istnieją straszliwe wąwozy, gdzie woda żywa i odpływ odwrotny, wciśnięte między szeregi pniów podwodnych, pędzą ze straszliwą szybkością.

Same ich nazwy - jak nazwa "Kłęski" - wskazują na dzieje męstwa człowieka szukającego swej potęgi na tych drogach stracenia.

Na zachodnim Szkocji wybrzeżu istnieje przesmyk morski Great-Gulf, w którym szybkość prądu przewyższa najbystrzejsze górskie potoki, lecące z wyżyn w przepaście w wodospadach, rzutach i skokach.

Różnica poziomów obrusów wodnych wskutek starcia się prądów i przyływów wytwarza zakręty i leje, w których wirowanie połyka ludzkie okręty.

Czy przez Sund, Kattegat, Skagerrak nie dąży z dala jakiś strumień odbity tych wirów?

Istnieje tam próg podwodny płycizn, piachów i skał, lecz nurt słonośny w głębi sześćdziesięciu metrów idzie tamtędy z oceanów.

Dąży w nim ku wschodowi dorsz, skarłała pomuchła, żyjąca na wielkiej głębi w poszukiwaniu soli swej wielkiej morskiej ojczyzny, i warczy kur, istna nietota wielkich oceanów, zwyrodniały diabeł morski.

Z dala idzie podspodnia rzeka niosąc oprócz mułów i piasków bezcenny dar ciężkiej soli.

Idzie dnem, wodną ciemnicą, powiększając swą szybkość w miarę wielkiej głębiny i zwalniając ją na snadziznach.

Rzeko w morzu, która zasób soli z gorzkich i słonych okręgów oceanu przynosisz na pogranicze wód niemal rzecznych płytkiej puckiej laguny, gdzie pluskają się słodkowode ryby - bądź

pozdrawiona!

Czekają cię na piaskach helskiego wybrzeża stęsknione stopki dzieci - chłopców i dziewczynek - nadzieja plemienia, któremu zbójcka napaść sąsiadów przez tyle lat wydzieriała nie tylko wolność, lecz zdrowie.

Chlustaj, o potężna, ostrymi pianami w te małe golenie i piersi I

Wytracaj siedliska zarazy, a czystym wichrem, który nosisz jako żywioł tworzący, napychaj tlenu w płuca wąskie i małe!

Gdybyż to mieć ręce na pół Polski długie!

Gdybyż to mieć siłę Wyrwidęba i wydzierać z jej lasów co najzdrowsze drzewa!

Gdyby pobudować tysiąc baraków wzdłuż piasecznic Helu, na gołym ostrzu jej miecza!

Gdybyż to wysypywać rokrocznie tysiąc tysięcy dzieci, skarłatych w miast zaułkach, w proletariackich piwnicach, znad ścieków i kanałów, gdzie się ciała nieskalane zakażają zarazami i zbrodniami łotrów starych.

Lecz nie mam rąk na pół Polski długich i nie mam siły Wyrwidęba.

Nie ma w Polsce siekiery, która by w takim celu jej dostała drzewa ścinała. Płyną polskie puszcze za to morze dalekie.

Muszę patrzeć, jak pycha bogaczy, spryt kanalii i dorobkiewiczów egoizm, wszystko w Polsce zamieniając na kawał, po staremu wzdłuż i wszerz rozbija się i hula.

Rzeko morska!

Nasza sprawa - twojej pracy wieczystej, twojej siły nie wyczerpanej przenigdy i mojego utęsknienia za sprawą mej duszy - wciąż czeka i czeka...

Gdy po nocy wietrznej i dżdżystej nastanie cichy i pogodny poranek, a fale nie skaczą już z szumem na płaskie wybrzeża, zostają w białych piaskach zalewiska błękitne, smugi wody zapomnianej, każda oddzielona od bujnego wciąż morza wygładzoną mierzeją.

Nad tymi jeziorkami słonymi siedzą rzędem nieruchome małe mewy, szare, niedawno opierzone figurki, ni to kuleczki posrebrzane i lśniące.

Przed nimi po drugiej stronie smugi przewodniczą młodocianemu społeczeństwu ojcowie czy też matki tego świata, skoro, według nazwy osobnika, winien by tam panować ustrój matriarchalny.

Za zbliżeniem się człowieka stare mewy z krzykiem wielkim zrywają się do lotu i rozbiegłszy się na wsze strony znikają w błękitnych rozłogach.

Młode, jeszcze widać nie wdrożone w dzieło napaści i zabójstwa rządzące żywotem istot ziemi, niewiele sobie robią ze złowieszczej postaci.

Lecz daleki krzyk rodzicielski daje rozkaz i wskazówkę ucieczki.

Zrywają się tedy jak jedna, uczennice posłuszne praw rządzących wszechstworzeniem.

Pierzchają w jasne powietrze, krążą migając nieskalaną białością cudnych skrzydeł i piersi, a uciekają na wsze strony.

Tak niegdyś na pierwotnym nagim piasku półwyspu czuwał nad losem potomstwa drugi z kolei gromadzki zbór osadników.

Nie pociągało go na te morskie wysypiska i wiatrów wydmuchy nic innego tylko nadzieja rabunku.

Bezplodne i bezdrzewne, w zimie omarzniete od lodów, na wiosnę i w jesieni mgłami grubymi osnute, po stokroć przewiane od nawałnicy z zachodu, nie pociągało niczym innym.

Zbójca morski był tu osadnikiem najpierwszym.

Nad głębią wyoraną przez prądy zachodnie przesuwały się obok pierwotnej mielizny okręty wyniosłe, dążącez ziemi Prusów i Rusów do ziemi Waregów i Pomorzan. Pod wydętymi żaglami

mocne jodłowe korabie niosły z Rany, ze Szczecina i Kamina tysiąc tysięcy przedmiotów i skarbów, które zapełniały sen głodnego i nagiego barbarzyńcy.

Odosobniona od świata, niedostępna i naga wyspa na morzu stanowiła ponętę przez swą zupełną pustynność, ażeby z niej uczynić schronisko, czatownię i miejsce wypadu.

Przebywszy wpław cieśniny, na wybrzeżu zachylonym od wiatru, ubogi przychodził, wygnaniec, odszczepieniec ludzkiej gminy, czynił sobie noclegowisko i domostwo z trzciny, chrustu i łupu, który morze wypłuwa.

Na wzór sosny dzisiejszej, która dla swych schłostanych gałęzi w piasku szuka schronienia przed zachodnimi podmuchy, zdrętwiały od zimna wędrowiec wygrzebywał w zwiewnej dunie ziemiankę.

Ta ziemia, którą morze ze siebie wyгнаło, a wiatr z miejsca na miejsce przepędzał, nie mogła swymi mchami pożywić ładu wyrzutka, więc się musiał jąć pracy.

Czatował z długą w rękę sulicą na morświnie, na delfiny o pysku wydłużonym i spłaszczonym w podobiznę dzioba kaczego, gdy przez prądy zachodnie przygnane wesoło się pluskały w błękitnych falach nadbrzeża, a nadobnymi ruchami wyrzucały się z wody.

Gdy zimą smagał wyspę wiatr północny, a gruba pawęż lodu brzegi kryła, gdy kra spiętrzona utworzywszy zwały lśniąca osadzała je na piasku, podchodził szare, płetwonogie, bezuche morskie cieleta, foki o krótkich kielcach, skoro do swej dawnej bezpiecznej przystani docierały, żeby się na słońcu wylegiwać. Zabijał je niespodzianym pociskiem swojej straszliwej procy kamiennej. Opijał się wówczas ich tłuszczem, okrywał swą nagość ich piękną, lśniącą skórą i pożerał ich mięso uprażone na ogniu.

W dobie letniej nie mogły zaspokoić jego głodu ryby, które w falach ledwie-słonych na Małym Morzu widywał, gdy się na dnie i u brzegów przewijały.

Najprzedziwniejsze, rozkosznie piękne ich kształty, przerozmaite ich postaci, wznoszenie się samochcąc i tajemnicze opadanie, krążenie w toni, skoki nagłe, rzuty i nieruchome w miejscu trwanie na podobieństwo kani w niebie - ich poloty, wykręty, krygi i tańce były dlań niedosiężne wskutek braku odpowiedniego narzędzia napaści.

Żyły tedy i barwiły się przed jego chciwymi oczyma w Małym Morzu - ostrożny i płochliwy okuń, tłusty karp, jazgarz, sandacz, ukleja dążąca w maju ku brzegom, miętus śliski i nie dający się dłonią ująć, karaś, płasająca płoć, minog rzeczny, leszcz, lin, piskorz, sum, zbój wodny szczupak i piękna brzona, czyli sieja.

Po drugiej stronie wyspy przyplływały w wielkich falach majowych śledzie, w marcu i na jesieni szły ku brzegom łososie, a w zimie sielawki,

Tuliły do przeczystego dna swą brodawkowatą powierzchnię czworakie rodzaje płastugów - bańtki, czyli małe fląderki, stornie, czyli znaczne flądry, limandy i turboty z oczyma osadzonymi z lewej strony płaskiego ich ciała.

Pławiły się w tych wodach morskie zające i śpiczastonose, tarczami kościanymi pokryte, ciemnobłękitne, drapieżne i łakome jesiotry, które wiosenną porą po społu z łososiami niosły się pochodami ku Wiśle.

Czujny strażnik wybrzeża niemało zużył trudu dla przerwania ruchu wdzięcznego, dla skrócenia żywota, dla pożarcia miazgi tych wody mieszkańców, na ogniu spalonej.

Czatował na wielkie węgorze albo nieruchome szczupaki, leżąc długo piersiami na tafli lodowej, ażeby nieomylnym uderzeniem zaostrej ośęki, bodorem celnym je przebić.

Wywabiał je po nocy z dna, z kryjówek, oszukując i prowadząc ku brzegom za pomocą blasku pochodni i płonącego łuczywa.

Ciągnęły zwiedzione w głupocie swej świętej i wchodzimy w więcierze wikłowe, w chytne żaki.

Splatał bowiem pierwotną sieć z wikłów, osadzał ją na stroiszu, czyli trzonku, lub podstępnie zastawiał.

Wypalał węgla zarzewiem w pniaku sosnowym, zwalonym przez wichry, rdzeń drzewny i czynił zeń podobiznę pławaczki.

Puszczal się w owej łodzi pierwotnej na wody spokojne, krótką paczyną z prawej i lewej strony drzewnego koryta umiejętnie wyrtając.

Lecz niedaleko od brzegu mógł odbić.

Zbadał wszakże caliznę wychyloną już z wody i zaczajone pod falą wzburzoną osuchy, wypatrzył i wymierzył, gdzie w wierzchołku przylądka haki są najzdradliwsze dla brzucha okrętu, gdzie czatują istne wąwozy zalewisk między łachą a łachą.

Gdy w ciemną noc listopada morze poczęło ze swej głębi i dali wydawać najbardziej ponure łoskoty i ryki, gdy od niestrzymanej potęgi huraganu wyspa drzeń poczęła w posadach, skoki spiętrzonych bałwanów przesadzały wały wysokie, ryły jamy, pruły brzegi i nowe w międzymorzu wybijały wąwozy, a siwy, w swej straszliwości przeraźliwy żywioł morski wokoło suszę obiegał - człowiek na wyspie rozpalał nad zdradzieckimi pułapkami wielkie ognie, bujne stosy na najwyższych wzniesieniach.

Dawał niby to ratownicze i zbawcze sygnały braciom ludziom, których wielkie denegi z miejsca na miejsce ponad głębiną ciskały.

Zdarzało się, iż sternik na korabiu, burzą szaloną miotany, zawierzył ludzkiemu pobratymcowi na suszy.

Nie wiedział, iż czeka nań u wybrzeża, schowanego w ciemności, bardziej złowieszczą zasadzką niżli burzy szaleństwo w otchłaniach - iż się gotuje do skoku nienawiść, chciwość i zemsta srozsza od najzacieklejszego podmuchu.

Gdy statek zwiedziony a zwabiony do brzegu fałszywymi ogniami, ni to ryba bezmyślna, worał się w piachy, stanął w biegu albo padał na boku - pod pozorem ratunku czerń półzwierząt wdzierala się na pokład od żądz dysząca. Z mroku nocy migotały wściekłe oczy i maczuga wyślizgana w napaściach - a do wichrowego poświstu dołączał się świst oszczepu ostrym nabitego krzemieniem. Toteż żeglarz waregski i brytyjski nadawał temu miejscu w swojej mowie nazwę "Hell" - czyli Piekło.

Oto, co głosi stara helska kronika, przechowywana do niedawna w protestanckim kościele na Helu, z której tylko wyciąg pozostał:

Książę Wartysław Pierwszy w roku 1128 założył miasto na Helu w miejscu, gdzie stały nędzne chaty zamieszkałe przez lud dziki.

Na pamiątkę swej małżonki, która nosiła imię Hela, nazwał to miejsce Helą.

Zbudował tu kościół parafialny pod wezwaniem świętego Wojciecha, a miejsce to zasiedlił osadnikami z Pomorza, którzy się rybołówstwem trudnili. Księżna darowała do tego kościoła kielich srebrny z rytym na nim napisem.

Gdy Wartysław, pierwszy książę chrześcijański, umarł w roku 1136, a brat jego, książę Ratiborus, władzę księcia osiągnął, zbudował w tymże miejscu w roku 1142 kościół, który nazwał świętego Piotra imieniem. A poświęcił ów kościół biskup imieniem Adalbertus.

Waldemar Drugi, król duński, prowadził wielką wojnę z książętami Pomorza i zagarnął ich miasta aż do miasta Hela nad morzem.

Tyle wieści stara helska kronika.

Książę Wartysław Pierwszy, idący z rodu Kruta, syna Gryna, króla Ranów, księcia Obodrytów i Lutyków, a z matki Sławiny, córki Swantybora pomorskiego, jest pierwszym księciem Pomorza

znanym w dziejach.

Aż do jego czasów ziemie te, zdobyte przez Bolesława Chrobrego, podlegały Polsce Piastów.

Pomorze nad Parsantą i Odrą w czasie zaburzeń po śmierci wielkiego budownika wyłamało się spod polskiej przewagi.

Wartysław ze Szczecina władał obszerną krainą po obu brzegach Odry, rozciągał swe panowanie nad Wkranami, tudzież nad wyspami Uznoim i Wolin.

Stolicę swoją miał w Szczecinie, odkąd Białogard nad Parsantą, dwakroć przez Bolesława Krzywoustego zdobyty, królowi polskiemu podlegał.

Książę Wartysław, dzieckiem jeszcze ochrzczony, pomagał do zaprowadzenia na Pomorzu chrześcijaństwa.

Jednak w jego stolicy złoty posąg Trygława był narodowym bożyszczem i cześć powszechną odbierał.

Od dzieciństwa Bolesław Krzywousty dobijał się o panowanie nad morzem. Na czele swojej jazdy w ciągu pięciu dni, pięciu nocy przebiegał wskroś lasów i moczarów bezdrzewnych, żeby Kołobrzeg opanować.

Wtedy - jak mówi pierwszy polski a znakomity po wsze czasy pisarz jego epopei - całe plemię barbarzyńców Północy potężnie się przeraziło, a sława Bolesława najszerzej i najdalej rozbrzmiewała.

Wtedy również w śpiew wojenny przepłynęło przysłowie powszechne, stwierdzenie za pomocą melodyjnego słów brzmienia prawdziwości stanu rzeczy.

A owa cantilena wojenna, w przekładzie na łaciński język pisarza, głosiła:

Pisces salsos et fetentes apportabant alii,
Palpitanles et recentes nunc apportant filii,
Civitates invadebant patres nostri primitus,
Hi procellas non verentur neque maris sonitus.
Agitabant patres nostri cervos, apros, capreas,
Hi venantur monstra maris et opes aequoreas.

Po wtóre Bolesław posiadał Białogard i Kołobrzeg, a rokrocznie powtarzając swe wyprawy zdobył Szczecin, dotarł aż do Moryckiego Jeziora, a wreszcie Wolin opanował.

Książę Wartysław na Szczecinie, który zdradził po wielokroć króla polskiego i walki z nim toczył, musiał wreszcie uznać jego zwierzchnictwo.

Gdy święty Otto bamberski, z Gniezna od grobu świętego Wojciecha przez Bolesława Krzywoustego wyprawiony w towarzystwie kapelana królewskiego Wojciecha, rzeźbiarza Leoparda i trzeciego kapłana o nieznanym imieniu, wszedł w puszcę i przedzierał się szlakiem znaczoneym na drzewach za poprzednich wypraw królewskich - pod Starogardem spotkał księcia pomorskiego Wartysława, który go ze czcią przyjął na czele swych wojowników.

Przy czynnej pomocy Wartysława święty Otto dokonał dzieła nawrócenia Pomorzan w grodach Pirycu, Kaminie, Wolinie i Szczecinie.

Cztery przedziwnej budowy szczecińskie kontyny zburzone zostały, a złoty posąg Trygława zwalony.

Rozdzielone zostały między tłuszczę niedawnych czcicieli bożyszcz drogą kamienie świątyni, ozdobne oręża, rogi rzeźbione, złoto i srebro.

Trzy głowy złote posągu odesłano do Rzymu dla papieża Honoriusza Drugiego.

Na miejscu głównej bożnicy stanął pośrodku Szczecina kościół pod wezwaniem świętego Wojciecha.

Drugi kościół pod wezwaniem Piotra świętego zaczęto budować za murami pomorskiej stolicy.

Lud nawrócił się ku chrześcijaństwu, a sam książę Wartysław pod wpływem trzech misjonarzy odprawił swe dwadzieścia cztery żony i przy jednej pozostał, która była chrześcijanką, szczególnie biskupowi przychylną. (Była to może owa Hela, która kielich do kościoła na Helu w darze dała...)

(Może to "rzeźbiarz Leopard" z naczyń srebrnych kontyny kielich nowy wytopił i napis wokoło niego wyrzył...)

Po naradzie króla Bolesława Krzywoustego z księciem Wartysławem i biskupem Ottonem na stolicę biskupią Pomorza powołany został towarzysz wyprawy misyjnej, Polak Wojciech, kapelan królewski, Adalbertus.

Lecz dopiero w roku 1140 nowy biskup zasiadł na swej stolicy w Wolinie.

Gdy zaś książę Wartysław został w Stołpie nad Pieną w roku 1136 przez skrytobójcę zabity - brat jego, książę Ratibor, ożeniony z córką Bolesława Krzywoustego - Przybysławą - objął władzę nad dziedziną.

Jeszcze za żywota Wartysława ten to książę Ratibor, "zebrawszy koło siebie poganów, krążył po wodach Bałtyku jakoby król morski pośród floty swej, złożonej z pięciuset korabiów.

Na każdym zaś korabiu miał po czterdziestu czterech ludzi i dwa konie". Podobno nie bez wiedzy króla polskiego przedsięwziął wyprawę do Kongheli, bogatego miasta szwedzkiego.

W roku 1135 miasto to szturmem zdobył i z ogromnymi łupami do domu powrócił. Tak o nim głoszą duńskie sagi.

Ci to książęta ze Szczecina, macierzy grodów pomorskich, Wartysław i Ratibor, jak świadczy helska kronika, zbudowali najprzód kaplicę, a później kościół w Starym Helu.

Kaplica nosi imię świętego Wojciecha męczennika, tak samo jak pierwsza kaplica na rynku w Szczecinie.

Kościół, w roku 1142 przez Ratibora na Helu zbudowany, jest pod świętego Piotra wezwaniem, tak samo jak pierwszy kościół pod murami miasta Szczecina. Poświęcił zaś ów kościół biskup imieniem Adalbertus, czyli Wojciech, kapelan króla Bolesława i uczestnik wyprawy w celu nawrócenia Pomorza.

Kielich, darowany przez żonę Wartysława do kościoła na Helu, był do niedawna przechowany w skarbcu obecnego kościoła, lecz wywieziony do Gdańska - nie wiadomo gdzie jest teraz.

Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew, książę saski, zdeptali już byli ziemie Słowian za Odrą.

Polska, rozdrobniona na cztery dzielnice, straciła dawną potęgę.

Daremnie opierał się naporowi niemieckiemu Nikłot książę zaodrzański, z rodu tegoż Kruta, syna Gryna, króla Ranów.

Przez lat trzydzieści nadaremnie walczył ze Lwem i Niedźwiedziem albo usiłował ich podejść oszustwem, zdradą, udaniem.

Zamki tego bohatera i ostatniego poganina, Iłowo, Weligrad, czyli Meklemburg, Zwierzyn, czyli Szweryn, Dąbin i Worle na pograniczu ziemi Chyżanów wydarte mu zostały przez zastępy Lwa i Niedźwiedzia.

Wreszcie sam Nikłot na polu bitwy mężnie poległ.

Lud słowiański musiał uchodzić na wschód, na wschód przed zastępami okutymi w żelazo, pod których stopą ziemia drżała.

Tak mówi Helmold, kronikarz niemiecki, chwalca Albrechta Niedźwiedzia:

Bóg hojnie księcia naszego i naszych książąt zwycięstwami obdarzył - Słowianie wszędzie

wytopieni zostali lub wypędzeni, a od granic oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które ziemię Słowian posiadały, pobudowały miasta i kościoły i w bogactwa nad wszelką miarę urosły.

Synowie Nikłota: Przybysław Pierwszy, książę Obodrytów, i Wratysław, książę Chyżanów, musieli również uchodzić dalej a dalej.

Gdy zaś książę Wratysław, ujęty w niewolę, został z rozkazu Henryka Lwa jak pies powieszony, Przybysław nie miał już siły najeźdźcom się opierać.

W czasie wojny krzyżowej, wszczętej przeciwko Słowianom szczecińskim przez Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa, przez opata korbejskiego Wibalda, który chciał do swego opactwa wyspę Ranę, czyli Rugię przyłączyć - przez biskupa werdeńskiego Dytmara i innych dostojników kościoła - przez królewiczów duńskich Swena i Knuta - gdy wszystkie te ludy Północy w sile niezmierzonej obiegly twierdzę Dąbin nad Zwierzyńskim Jeziorem - książę Ratibor szczeciński, brat Wartysława, wspólnie z biskupem Wojciechem bronił się przeciw Niemcom i Danom. Biskup woliński Wojciech, jeden z pierwszych apostołów Pomorza, wystawił na wałach obleganego Szczecina krzyż przeciwko krzyżowcom, niosącym jakoby chrześcijaństwo w te kraje.

A wyszedłszy do obozu nieprzyjaciół wyrzucał biskupom ciągnącym z książętami na wyprawę wojenną, iż za pomocą krwi i grabieży przychodzą niby to nawracać - dawno nawróconą krainę.

Uchodząc przed naporem niemieckim Słowianie dosięgali brzegów morza, uchodzili w puszcze, na błota i piaski bezpłodne, kryli się w dalekich przylądkach i niedosiętych międzymorzach.

Król Danii, Waldemar Drugi, "Zwycięzca", który pokonał zaodrzańskie Pomorze, zdobył wyspiarskie państwo Ranów, ściał i spalił posąg Swantewita i złamał chorągiew niepodległości, "stanicę", zajął Gdańsk, Prusy, Estonię i całe morskie wybrzeże aż po Fińską Zatokę - nie ominął starego miasta na Helu.

W tysiąc okrętów i sześćdziesiąt siedem tysięcy wojownika zajął Rygę, zburzył Lyndanisę i na tym miejscu założył za miasto Rewel, przebiegł całe Inflanty i posiadał daleką wyspę Oesel.

Mieszkańcy miasta na Helu płacili daninę Duńczykom i niezwyciężonemu ich wodzowi.

Lecz Waldemar Drugi, porwany i uwięziony przez księcia Henryka ze Szwerynu, zrzekł się swych praw do Pomorza.

Wciąż jednak, aż do śmierci Waldemara Drugiego, synowie Wartysława Pierwszego, Kazimierz Pierwszy i Bogusław Pierwszy, ożeniony z Anastazją, córką Mieszka Starego, byli wasalami duńskimi.

Po śmierci Waldemara Drugiego markgrafowie Jan i Otto Trzeci otrzymali od cesarza Fryderyka Drugiego wszelkie prawa nad Pomorzem.

Rybacki, zarzucający swe sieci wokół starego miasta na Helu, zmienili tedy panów. Komu innemu mieli składać daninę ze swojej pracy na morzu i ze swej pracy na suszy.

Oto co głosi jedna z najstarszych wyspiarskich powieści.

Na początku XIII stulecia Eryk Czwarty, król duński, zwany Plovpennig, czyli "Szelaż od pługa", syn Waldemara Drugiego, prowadził wojny zaciekle. Studiując za lat swych młodzieńczych za granicą nauki, w italskiej Bononii i w Paryżu - jak głosi kronika - książę Eryk zaprzyjaźnił się i pobratał z Sinibaldem Fieschi, synem Hugona, hrabiego Lawanii, genueńskim magnatem, znakomitym wnet prawnikiem, noszącym dla wielkiego znawstwa kanonów miano pater et organum veritatis, który z czasem pod imieniem Innocentego Czwartego zasiadł na tronie papieży.

(Ten to znakomity znawca kanonów, pater et organum veritatis, za opłatą daniny na rzecz Stolicy Apostolskiej zatwierdził Krzyżaków we władaniu Ziemią Chełmińską i darował im kraje, które na Prusakach zdobył).

Posiadłszy część władzy królewskiej nad Danią północną jeszcze za życia Waldemara Drugiego, Eryk, zwany dla podatku nałożonego na rolników "Szelażem od pługa", wysłał poselstwo do swego ongi przyjaciela, papieża Innocentego Czwartego z prośbą o wszczęcie dochodzeń przeciwko dwu duńskim biskupom. Papież Innocenty, uwikłany w srogie walki orężne z cesarzem Fryderykiem, nie lekceważył przyjaciela siedzącego na tronie Północy.

Posłał do Danii legata w osobie minority nazwiskiem Sedensa, z darami składającymi się ze szczątków krzyża świętego i z czaszki świętej Barbary. W srebrnej szkatule, rytym ozdobionej napisem, mieściła się czaszka męczennicy.

Legat przybywszy do Danii zastał tam srogie wojny, toczące się między królem Jutlandii Erykiem i starszym jego bratem Abelem, panującym w Szlezwiugu. Nadto mór pustoszył tę krainę tak dalece, iż król Eryk na jedną z wysp odległych się schronił.

Legat wsiadłszy na okręt podążył za królem Erykiem.

Skoro tylko odbił od brzegu, straszna burza poczęła nosić statek w dzikim Morzu Północnym, a wreszcie po dniach wielu wyrzuciła go na wybrzeże jakiejś ziemi, którą insula Helae nazywa kronika.

Czatujący w tym miejscu rozbójnicy - na mocy swego prawa łupu - obdarli ze wszelkiego mienia rozbitków, porwali i uwięzili legata, a dary papieża dla króla Eryka zrabowali.

Tak to cudne oblicze wielkiej męczennicy egipskiej, dziewicze czoło świętej panny, Barbary, która śmierć samą z ręki rodzzonego ojca przeniosła nad złamanie wiary swego serca świętości, zajaśniało w blasku ogniów przed oczyma pogan Północy.

Głowa samotnicy, nazwanej imieniem Barbara - czyli obca wśród swoich, wśród najbardziej rodzonych - głowa zamkniętej w wiecznej wieży nie tylko materialnego więzienia, lecz zamkniętej w wieży zupełnej ducha samotni, upadła znowu pod nogi barbarzyńców.

Za życia obnażona w niewysłowionej piękności swej cielesnej, bita, kaleczona, szarpana żelaznymi szponami, po wyrwaniu piersi popędzana ku pośmiechu miasta Heliopolis - teraz znowu rzucona została na łaskę dzikich chłopów i grubych siepaczów.

Któż to wie - dlatego może, iż zanadto była uczczona przez drogi metal okucia głowy świętej, przez piękne emalie wizerunku i górne słowa pochwalnych napisów - dlatego może, iż stała się darem potężnego papieża dla króla - ona, co była samą pokorą i samą jeno nieskazitelną, nagą cnotą...

Lecz jako niegdyś, gdy w trwodze dziewczynskiej przed gniewem i zemstą własnego ojca uciekała, kamienna góra, z wielkich złożona głazów, rozstała się była i czulej niż matka rodzona w łono ją swoje przyjęła, a pilny i pamiętny jej losu anioł karmił ją we wnętrznościach ziemi niebieskim pożywieniem, tako i wówczas się stało.

Bardziej twarde od skał serca rybaków i piratów międzymorza, w wichrze i burzy wychowane, karmione trwogami zabobonów Trygława i srogimi biczami praw panów dalekich, nieznanych, osunęły się, zadrzały i otwarły.

I jako niegdyś, gdy pod ojcowski miecz mężną głowę skłaniała, piorun śmiercią poraził kamienne ojca serce, tako i teraz piorun strachu przeszył nieulekłe serca wyspiarzy.

Patrzyli się w zdumieniu na lica malowane, jakich nigdy jeszcze nie widzieli, i na milczenie białej kości czoła.

A potem, czuciem tajemniczym popchnięci, skoczyli w łódź, ustawili szaty żagłów i na spienionych denegach pobieźeli do księcia, do Swantopołka we Gdańsku, trzymając wysoko w ręku a ponad głowami puszkę przeraźliwą.

Świętopełk, księżę gdański, zrozumiał znaczenie zdobyczy i potrafił ją uczcić. Zamknął szkatułę z

głową świętej Barbary w swoim niezdobytym zamczysku, w komorze najtajniejszej Sartawic.

Świętopełk, syn Mszczuja i Zwienisławy, wnuczki Ratibora (który na Helu kościół świętego Piotra zbudował), po wygaśnięciu rodu Ratiborowiców opanował ich dziedzinę orężem czy podstępem.

Na wschód od tej dziedziny Ratiborowiców całe gdańskie Pomorze należało do Polski.

Zarządzali nim książęta spokrewnieni z władcami zachodniego Pomorza, uznający nad sobą zwierzchnictwo Polaków.

Lecz ojciec Świętopełka Mszczuj Pierwszy, dziad Sambor i pradziad Subisław pisali się książętami gdańskimi i rządili samodzielnie nadmorską krainą.

Świętopełk zagarnąwszy dziedzictwo Ratiborowiców: Słupsk, Sławno, Białogard i całe pobrzeże, stał się również panem na Helu.

Podzieliwszy się z braćmi, Raciborowi oddał Białogard z całą ziemią, Samborowi Lubieszew, Tczew i Starogard, a sam objął Gdańsk, Puck, Świecie, Nowe, Wyszogród.

Gdy bracia przeciw niemu poczęli spiskować, pobił ich i zajął ich udziały. Wyłamał się spod władzy Leszka Białego i stał się panem niezależnym, "królem Pomorzanów".

Leszka w Gąsawie zabił.

Zrazu sojusznik krzyżackiego Zakonu w dziele ujarznienia i podboju zawiślańskich Prusaków, wnet, poznawszy się na wartości przybyszów, stał się najzacieklejszym ich wrogiem.

Osadził ludem zbrojnym swoje zamki nad Wisłą, chwycił statki krzyżackie, żywność łupił, a Krzyżaków i ich służbę bez litości mordował.

Rycerze krzyżowi z Elbląga i Balgi, siedzący na swych zamkach wśród ludu wrogiego, głód i nędzę cierpieli.

Nadaremnie papież wyprawił legata, Jakuba Pantaleona, późniejszego papieża Urbana Czwartego, żeby skłonić gdańskiego władcykę do zgody z zakonem Krzyżaków. Lecz ani groźby legata, ani prośby nie zdołały Świętopełka ugłaskać, gdy bracia jego Racibor i Sambor na nowo spiskować z Krzyżakami zaczęli.

Podburzył ludy Pomezanii, Warmii, Natangii, Bartonii.

Ludy te, przez Krzyżaków niedawno ochrzczone, porzuciły chrześcijaństwo i szły pod chorągwie Świętopełka, który przybyszów niemieckich w pień wycinać polecał. Wszystkie zamki krzyżackie z ziemią zrównane zostały z wyjątkiem Elbląga i Balgi.

Z Pomezanii wódz gdański poszedł ze swymi hufcami w poprzek Ziemi Chełmińskiej pod Chełmno, Toruń i Radzyń.

Śmiercią ginął, ktokolwiek do tych trzech zamków nie zdołał się schronić.

Legat, Wilhelm z Modeny, ogłosił krucjatę przeciwko odszczepieńcy i tyranowi północy, który szerzył apostazję wśród ludów ochrzczonech i w jarzmo ujętych. Rycerze krzyżowi zdobyli Sartawice niespodziewaną napaścią.

Teodoryk von Bernheim, marszałek Zakonu, we czterech rycerzy i dwudziestu ośmiu pachołka w nocy naszedł zamczysko i załogę wyrąbał.

Plądrując książęce komory zdobywcy znaleźli szkatułkę, której napis wyryty zaświadczał, że się w niej relikwia bezcenna, głowa świętej Barbary znajduje.

Marszałek zostawił w Sartawicach załogę, a sam, szczupłym otoczony oddziałem, uwiózł pod płaszczem krzyżowym zdobycz ponad wszystko znaczniejszą. W grudniowe zawieję, ciemną nocą w skok popędził do Chełmna.

Lud cały z duchowieństwem na czele wyszedł na powitanie świętości. Wniesiono srebrną skrzynkę w procesji do pierwszego po drodze kościoła. Świętą Barbarę uznano za patronkę

powiślańskiej krainy.

Świętopełk odbijał Sartawice wszelkimi sposobami, podstępem, układami i szturmami. A nie mogąc nic wskórać, nocą oblężenie porzucił, przeszedł Wisłę po lodzie i przeszył znów Ziemię Chełmińską pustosząc ją ogniem i mieczem.

Marszałek Teodoryk von Bernheim zebrał wszystkie swe siły, stoczył bitwę i pobił Świętopełka na głowę.

Dziewięciuset Pomorzanie legło na placu porażki - znaczne łupy i czterysta koni dostało się w ręce zwycięzców.

Świętopełk wrócił na tamten brzeg Wisły i znowu Sartawice oblegał.

Marszałek poszedł za nim po lodach wiślanych, lecz księżę spalił swój obóz i uszedł w bezludną nadmorską krainę, przypadł na dalekim miedzymorzu, w pustkach leśnych się ukrył.

Wtedy polscy książęta - kujawski Kazimierz, Bolesław Pobożny kaliski i wielkopolski Przemysław - po społu z Krzyżakami Nakło obiegli i zdobyli. Krzyżacy spustoszyli leśną ziemię Kaszubów szukając w niej Świętopełka i zagarnęli zachodnie Pomorze.

Księżę gdański ukorzył się przed Zakonem, wydał Krzyżakom Sartawice, a w zakład wierności - najstarszego ze swych synów, Mestwina.

Lecz skoro tylko krzyżackie załogi odeszły spod Gdańska, podburzył ludy Sudawii na nowo, pociągnął Prusaków pod swoje chorągwie i ruszył w niziny chełmińskie, do nogi mordując mieszkańców.

Brata Racibora, który z książętami polskimi się zjawiał, do więzienia wtrącił, a całą ziemię powiślańską, z wyjątkiem Chełmna, Torunia i Radzyna, spustoszył i spalił.

Berlewin, nowy marszałek Zakonu, zgromadził siły krzyżackie i uderzył w najeżdźcę.

Początkowo Krzyżacy sukces w bitwie odnieśli, lecz rozbiegłszy się za łupami otoczeni zostali przez zastępy Pomorzanie i Prusów.

Marszałek Berlewin poległ.

Z całego wojska Krzyżaków tylko dziesięciu rycerzy zdołało ucieczką się ocalić. Rycerze z Torunia na pomoc przybiegłszy zastali już pole bitwy trupami zasłane, toteż sromotnie uciekli.

Świętopełk popędził za nimi i niemałą klęskę im zadał.

Wróciwszy się pod Chełmno, oblegał tę twierdzę, ażeby syna Mestwina odebrać, który tam był więziony, oraz bezcenną szkatułkę z głową świętej Barbary. Chełmno było tak wyludnione, iż biskup zachęcał dostojne niewiasty, by się łączyły z pacholkami i służbą.

Kobiety chełmińskie przywdziały były zbroje mężczyzn i wyszły na wały obronne do boju.

Komtur Chełmna i jego rycerze sekretnym sposobem, po nocy wysłali Świętopełkowica Mestwina do zamku Sartawic.

Ojciec powziął tę o synu wiadomość i we dwa tysiące żołnierzy poszedł śladem synowskim, niszcząc wszystko po drodze do ostatniej przyciesi i do ostatniego człowieka.

Tymczasem przy obleganiu twierdzy Chełmna poniósł klęskę i całą prawie siłę swoją utracił.

Rycerze zakonnicy wysłali Mestwina z tej ziemi zakrwawionej na dwór księcia Austrii, żeby go ojciec nie dostał.

Po trzecie Świętopełk podburzył Prusaków, splądrował Kujawy mszcząc się na księciu Kazimierzu za Nakło.

W widłach starego i nowego Wisły koryta, poniżej zamku w Gniewie, pobudował zamek Zantyr w celu powstrzymywania rzecznych transportów krzyżackich. Na lewym brzegu Wisły, niżej Chełmna, Świecie jako miejsce swego wypadku obwałował.

Lecz nowe poniósłszy porażki, po wielokroć doznawszy klęsk wojennych, niestrudzony

wojownik znowu prosił o pokój.

Opizzoni, opat Messyny, legat papieski, zdjął zeń klątwę, gdy skruszony pokutnik zerwał wszelkie z poganami stosunki i obiecał pomagać Krzyżakom w dziele wytępienia bałwochwalców.

Obłudnik przyobiegał wszelkie wypełnić żądania, byleby mu Zakon wydał syna i zwrócił relikwie.

Lecz ledwie pokój ów został zawarty, po raz czwarty zbuntował Prusaków, wtargnął w posiadłości krzyżackie od strony Gołubia nad Drwęcą i mordował bez litości pogłowie.

Spustoszył potem Kujawy i zabrał wielkie łupy, które jednak mistrz prowincji mu wydarł.

Po zawarciu nowego pokoju w połowie trzynastego stulecia Świętopełk nową, piątą z rzędu wojnę rozpoczął.

W ciągu dwunastu lat blisko, czasu władania wielkiego mistrza Zakonu Henryka von Hohenlohe, Świętopełk pomorski wiódł nieustanną, bezsenną i straszliwą walkę z Zakonem.

A jednym z najzawziętszych jego haseł, jednym z celów, jedną z przyczyn rzezi najkrwawszych, łupiestw najbezlitośniejszych, pożogi bestialskiej było posiadanie na nowo relikwii świętej Barbary, niegdyś na Helu wybrzeże przez burzę rzuconej.

Tak to czoło dziewicze, najświętszymi, najdalszymi od zbrodni tego świata nasycone myślami, znalazło się pośród mleczów skrwawionych i bezlitosnych toporów, nad potokami łez niedoli i w zwojach kłębow dymu, pomiędzy jękiem krzywdy i wrzaskami napaści, jako hasło rzezi dzikiej, jako zemsty okrzyk bojowy i jako sztandar grzechu.

Wiele baśni przepływa pod checzy niskimi powały o burzy nad niezgłębnym bujowiskiem.

Któż zaś wyrazić potrafi i jaka baśń odtworzyć straszliwość nocy jesiennej, wiszącej nad łodzią samotną, przez wichęr miotaną w przewalach?

Któż zdoła wysłowić odwagę, cierpliwość i pracę samotnego człowieka, aby się burzy nie poddać, noc przetrwać i trafić do brzegu!

Lecz i w cichy lipcowy poranek strach na rybaka czatuje u spokojnego wybrzeża. Strach czatuje i tam nawet, wtedy nawet, gdy rybak sieć swą chce zarzucić u płązy tego miecza morskiego, u tylców tępych przylądka, gdzie się helska, niemiecka zatoka łagodnie w głąb lądu wygina.

Skoro rybak rzuci w wody kotwicę, by łódź nad głębią nieruchomo postawić i czekać na połów w spokoju, kotwica nie ima się gruntu.

Dzwoni pazur żelazny kotwicy o kamienie podbrzeżne, o skarpy potężne, pod piaskiem w opokę wkopane, o cegły czerwone, które w głębi pod zdiarami rdzewieją.

Z dna morza rumowie czerwone i kamień ciosowy wyziera.

Lęka się serce rybaka, Niemca dziś zawziętego, Kohnkela lub Walkowsa, i strach wielkooki ogarnia Kąkolów i Walkowców potomka.

Serce jego, niepamiętne jak u mewy, drży przed czymś strasznym i ciemnym. Gdy bowiem rybak ucho nastawi wśród ciszy, dochodzą go dzwonoń zatopionych rozgłosy i jęki.

Dziś na tym miejscu, gdzie stary gród słowiański się wznosił - morze dzikie się pieni.

Gdzie stały kościoły i klasztor jeszcze w siedemnastym stuleciu, okrągły wzgórek zalega, trawą bujniejszą niż inne pokryty.

Samotna tam dzika róża oddaje nikłym swym kwiatem pozdrowienie - nikomu - pustce, milczeniu.

Grube sosny, z gałęziami na wschód schylonymi, szumią do wtóru morzu zgłodniałemu, które żywoty zabiera, a trupy ze siebie na brzegi wyrzuca.

Nic tam nie zostało ze słowiańskiego grodziszczca, które Wartysław Pierwszy w piaski wkopął, Ratibor kościołem uświetnił, a Wojciech błogosławił na żywot.

Znikło do znaku, do ostatniego kamienia osiedle słowiańskie, a powstało w oddali osiedle

niemieckie za czasów panowania nad tą ziemią Krzyżaków.

Nie ma na to żadnego pisanego dowodu, żeby się tu to samo dokonało, co w Gdańsku za władztwa Henryka von Plotzke.

Tylko tak samo jak w Gdańsku kamień na kamieniu nie został ze słowiańskiego budowania, a nowe sioło niemieckie w kwitnącym stanie powstało.

Legenda niemiecka powiada to samo o Helu, co powiedziała po zbrodni Dominika o Gdańsku, iż mieszkańcy dobrowolnie swoje stare domostwa spalili i zniszczyli, i na inne się miejsca przenieśli.

A na tym nowym miejscu pobudowawszy swe domy, już byli od tej chwili i na zawsze Niemcami.

Powłada także legenda, iż mieszkańcy Jastarni są przybyszami i przesiedleńcami z tegoż Helu.

Czemu od doskonałej zatoki, od portu wygodnego i od najbliższego dostępu do bogatego w morskie ryby przestworza, od miejsca, co się tak wygrzewa w promieniach południa, iż tu dojrzewa winograd i figa, słowiańscy rybacy odeszli dobrowolnie na północ do przesmyku bez portu, do miejsca dalekiego od wypadu na morze?

Mieszkańcy dalekiej od Helu Jastarni, leżącej za borem niemałym, zachowali swój język prastary, słowiański, i wiarę owego biskupa Wojciecha, który zatopione dziś w morzu kościoły poświęcał.

Niemcy, którzy na cudzych popiołach tak dobrze, tak wygodnie, tak mądrze, tak zdrowo, tak świetnie, przezornie i pięknie budować się umieją, zabrali pod swe nowe domostwa dawnej cerkwy Wartysława ostatnie kamienie. I nic nie chcą powiedzieć, a nawet pamiętać, jak to się dokonało, iż stare owo miasto ziemia głucha pochłonęła i morze zimne zatopiło. Przybiegali jeno do niedawna w owo miejsce samotne, żeby się nad uroczyskiem roztkliwiać.

Wylewali swym zwyczajem sentyment nad miastem, które ich przodkowie zniweczyli. Prozą i wierszem opiewali owe dzwony, których bicie zniemczony rybak słyszy, i drukiem usiłowali przekazać innym Niemcom nastrój jakoby uzalenia się nad losem kościoła, który ich przodkowie do ostatniego kamienia na zagładę skazali.

Tam, gdzie za czasów niemieckich puszcza się zaczynała dla niemieckiej siedziby, na skraju wielkiego lasu helskiego - a gdzie dziś wre i kipi najbujniejsze właśnie życie, założono niegdyś cmentarzysko dla wyrzuconych przez morze bezimiennych i nieznanych topielców.

Mieli leżeć w pustce zupełnej, w ciszy bezwzględnej, w lesie głuchym między Jastarnią i Helem.

A oto stało się, iż leżą między nowozbudowaną stacją kolei żelaznej i między świetnie zbudowanymi gościnnymi domami dla rybaków wędrownych, dla Kaszubów szukających pracy na morzu.

Na nowo otoczyło ich życie - przyszło za nimi do tej bezimiennych pustelni.

Pewnie, że obojętną jest sprawą dla pokonanych przez morze, dla jego ofiar bezsilnych, czy spać na dnie mulistym i być pożartym przez ryby i raki, przez gady i robactwo - czy spać w litym piasku międzymorza, w ostępie boru głuchego, a być pożartym przez jego żaby i węże.

Lecz może matce sierocej, co w ziemi dalekiej po nocach czekała i pustki wiecznej nadaremnie prosiła się aż do utraty ostatniej nadziei o wieść, o znak od przepadłego syna - lżej będzie, gdy jej sen wieszczy podpowie, iż między ludźmi spoczywa.

Może dla niej ulgą to będzie, gdy on po nocy tysiąc mil duchem przeleci i u wezgłowia stanie, ażeby to miejsce mocą sennego marzenia pokazać - iż nie tuła się na dnie morza.

Bo straszna to przecie myśl dla ludzkiego rozumu i nieznośne czucie dla serca matki sierocej, iż jej syn wałęsa się na dnie morza, nie mogąc znaleźć spoczynku, miotany i targany, z miejsca na miejsce przez tajemnicze i straszliwe oceanu potwory, jakoby w duszy szatana wyśnione - przez

diabły morskie i rekiny, przez głowonogi ośmiornice, przez gruboskorupe langusty, ohydne kraby, oślizgłe mięczaki, ukwiały i jeżowce.

Przeraźliwe to dla jej serca czucie, iż to on właśnie, on jedyny, spłacać musi dług z pełna za wszystkie zbrodnie człowiecze względem mieszkańców morskiej głębinie spełnione.

To na nim samym mszczą się teraz morskie potwory, rozszarpując go i rwąc na sztuki, za tysiące lat podstępów, oszustw, morderstw i ćwiertowań, których człowiek na ich rodzie dokonał.

Gdy go zaś morze ze swego łona na jasne strądy wymiotło, śpi według ludzkiego obyczaju na suchego piasku pościeli i pod sosny zielonej gałęzią, którą ręka człowieka złożyła.

Bezimienny gardzina, który o słońca zachodzie ziemię suchą porzucał, powrócił oto z wyprawy.

Gwar pracy, odgłos ruchu z miejsca na miejsce, radosny krzyk życia ogłasza wokół jego łoża wiecznego zwycięstwo człowieka nad lądami suchymi i nad dzikimi morza obszary, skoro taki jest los rodu ludzkiego na ziemi.

Oto, co głosi jedna z rybackich wiestek na przymorzu:

Onego czasu wyjeżdżali na połów z kaszubskiego osiedla dwaj bracia rodzeni, dwaj rybacy, do tego samego należącego maszopstwa.

Mieli obadwaj mocne łodzie, uszczelnione pracowicie, z maszty, z żaglami, z kotwicą, we wszelki zaopatrzone przyrząd i statek.

Każda tedy z tych łodzi miała olinowanie należyte, ster, czyli wojo, wiosła okute i nie okute paczyny albo pojazdy, plichtę na przedzie, oporki i nożnice, pałasz boczny i korczaki, czyli stągwie do wylewania wody.

Obadwaj maszopi mieli sieci głębokie i oplawne na łososie, którymi się parali od marca do świętego Wojciecha, i mieli skarpie niewody, które znowu ciskali od wiosennych roztopów aż po świętojańskie poranki.

Mieli głady i brodniki dla połowu małej rybki tobijaszka, którą się wyrzuca na przynętę węgorza - i mieli gęstookie sieci na śledzie oraz niewody na węgorza, którymi zaciągali od Narodzenia Panny Marii aż do świętej Jadwigi.

Mieli także wszelkie wędy, czyli takie, do chwytania na przynętę wędrownego łososia, idącego w swoją drogę w stumetrowej głębinie.

Z tym to przyrządem puszczali się w słone morze i na bystre jego szory. Na rybitwę małomorską wychodzili z bodorem, którym wojowali węgorze od świętego Marcina aż do Gromnic.

Mieli konopne, gdańskie wite niewody do łowitwy na łodziach z wyrzuceniem kotwicy.

Mieli mocne brodniki, a tymi znowu wygarniali piskorze i wszelką inną słodkowodą rybę od świętego Wojciecha do Świątek i od Świątek po Dominika.

Mieli również waty na raki a więcierze na tłustą rybę - dargi z mosiężnymi łańcuszki na czujnego szczupaka i zwykłe wędy na węgorze.

Snadziej pewnie było obudwu braciom Kąkolom, starszemu Józefowi z przewiskiem Marycin - od imienia żony Maryki - i młodszemu Janowi z przydomkiem Litak - wypadać w Małe Morze.

Zepchnąć jeno baty ze spychu i bieżeć w rodzonej fali, na oczach mając domostwo i noc pewną pod strzechą.

Skoro jednak wypadło bieżeć w Słowińskie na morską rybitwę, ciężką musieli pracę podejmować.

Nie dane im było posiadać zacisznej przystani, gdzieby w spokoju i bez wiatru można było przygotować wyprawę na ów połów godziwy.

Nie mieli miejsca ucieczki, gdy czarna burza spędzi rybaka z przestworu a do ucieczki przynagli.

A nawet, plonem godziwym obarczeni, musieli ponad siły przy złym wietrze pracować, z tak

daleka do dom wracając, gdyż trzeba było przecie Hel prawie cały z obu jego stron remami obciągnąć.

Wiatry morskie nimi jako wola rządziły, skoro się w dal wybierali, porówno ze swojakami z Jastarni, Boru, Kuźnicy i Chałup - porówno ze wszystkimi tamtego brzegu, ze Swarzewa, z Osłanina, z Mrzezina, z Rewy, z Gnieździewa, z Oksywia, czy tam z Gdyni.

Tak to dnia jednego, w samym zaczątku jesieni, bracia Kąkolowie, starszy Józef Marycin i młodszy, przezwiskiem Litak, pociągnęli na pojazd w tamto morze.

A wyruszyli zaś głęboko jeszcze nade dniem, o dobrze ciemnej nocy, gdy pochodnica zaranna sama jeno stała w niebiesiech jako blask rozogniony. Łagodna bryza zachodnia skrzydła płócienne wydymała, gdy za Borem białe, wysokie brzegi ledwie w mroku widoczne mijali.

Józef, jako należy starszemu i przedniemu w maszopstwie, jechał przodem w swej kwaczy, patrząc się wiernie na gwiazdę.

Jan ciągnął za nim posłusznie, w bruzdę bratową, helmą steru ledwie-ledwie dotknięciem dłoni wprawiając.

Podobnie jako brat starszy - z gwiazdy pochodnicy spojrzenia nie zdejmował.

Pierwszy się oto brzask niecił za helskim staroborem, gdy dwie pomorzance kępę, Głowę Gołębia, półokręgiem dalekim na toni okrążyły.

Na bystrz ciemną spłynął przedświt niejasny, a w serca braci rybaków niejasna spłynęła radość.

Obadwaj tam nieruchomi jednak, jakby z kamienia wykuci, szuty jeno swych płócien pociągając, aby się podmuchiwi przeciwili, dusze swe blaskiem niebiańskim poili.

Chwalili bezsłownym czuciem w pokorze prostych serc Pańskie poranne dzieło.

Gdy zaś wymijali boję wiecznie wzdychającą na toni przy tamtym już brzegu - dzień był biały.

Daleko wysunąwszy się w łowiszcze kędyś na prost Karwi, gdzie brzegów wcale już widać nie było, a głębia płytkiego morza schodziła do metrów trzydziestu, poczęli denne sieci wyrzucać.

Każdy z braci wymiatał sieć swoją, złożoną z matni i dwu krótkich skrzydeł opatrzonych deskami, które służą do rozpięcia niewodu.

Do skrzydeł i do desek przywiązane mieli długie liny, których końce zostawały w każdej z dwu łodzi idących pod żaglem.

Niewody przez łodzie ciągnięte szły po dnie, zagarniając do matni płastugi, stornie, gładysy, a strasząc je pękami charszczu twardego, przytwierdzonymi do liny.

Co pewien czas to Józef, to Jan wyciągał do wnętrza łodzi swój niewód i wytrącał z macicy połów dnia tego, nad podziw ogromny.

Napełniły się storniami, gładysami, bańtkami dna pomeranków, a dusze rybaków radosne były od pracy i jej pomyślnego wyniku.

Południe przeminęło - na tę porę strasznie skwarne, parne i duszne, płonące od słonecznych promieni.

Ledwie zaś przeminęło południe, wicher niespodziany skądś powiał. Morze wzburzyło się nagle.

Fala zarywać się poczęła do topieli, a widnokrąg zawlókł się mrokiem, prawie nocnym.

Zdumieli się obaj rybacy i oczy przecierali, własnym nie wierząc spojrzeniom.

Stała przed ich źrenicami na zachodnim skłonie nieba i gnała ku nim właśnie trąba czarna, ukrecona z powietrza i z wody. Zwara wodna poderwała się z miejsca niskiego, a wiatr lotem po drogach kołowych zawijał ją w lej, skaczący po morzu i trzepiący się w pianach jako ryba niezmierna.

Powietrze rzutem z okolicy wyższego do niższego ciśnienia popchnięte złączyło się z wirem wodnym, jakby go pocałunkami poderwało do siebie. Słup czarny środkiem morza z zachodu ku

wschodowi gnał wirując.

Ponad tym to czarnym krążelem rozpostarła się potężna ciemna chmura, wylewająca strugi deszczu.

Wokół górnego łba potwory tłukły się masy porozdzieranych obłoków, pędząc od wnętrza wiru ku jego bokom wygiętym.

Zgasło do cna słońce w potopie ulewy.

Z dnia jasnego nagle ciemna noc się stała.

Błyskawice raz wraz rozpałały niezłomne ściany wieży lecącej, a grzmot rozbijał się w obrębie jej zakola.

Obadwaj bracia rybacy rzucili się do ucieczki. Lecz w którekolwiek pomknęli się stronę, wiosłami pracując, zawsze wirowy bieg wichury gnał ich ku środkowi zjawiska. Stargane zostały płótna żagli.

Gdzieś się sieci podziały. Wyrwały się z rąk i pognały w burzę remy wiosel.

Woda górna spadać poczęła w łódź każdą i napełniać ją sobą. Rozradowały się ryby złowione pod nogami oszalałych rybaków.

Bałwany, kręgiem zwijające się ponad skutą Józefa i ponad skutą Janową, wałem syczącym wyniesione, grzywą wścieklej piany obrosłe, przybrały kształty potworów, które zdało się z głębin morza wypadły.

Wirem gnało obiedwie łodzie, trzaskające się wzajem bokami.

Krzyk obydwu rybaków stał się obłąkany i głupi, gdy widzieli, iż giną.

Ale starszy wiekiem i w rzemiośle rybackim zmacał i ujął przecie w sobie twarde męstwo.

Począł młodszemu rozkazywać. Zakrzyknął: - Wodę - korcakiem!

Rzucił się młodszy do korcaków i szufli wylewnych. Oburącz począł wodę z łodzi na zewnątrz wymiatać.

Krzyże jego zginały się po tysiąc razy, szybciej niż biegnie słowo opisu, ręce w szaleństwie wylewały wodę z głębi.

Starszy czynił to samo w swojej łodzi.

Słysząc było w ryku burzy sapanie obudwu i bezładne słowa modlitewnego skamłania.

Lecz mimo pracy tak wścieklej, iż zdolna była siłę burzy pokonać, widzieli obadwaj z przerażeniem, iż się łodzie zanurzają od wzrastającego ciężaru i że wody nie ubywa, lecz przybywa.

Złani potem wewnętrznym bardziej niż potopem zewnętrznym ulewy - noc mieli w oczach a w duszach szaleństwo.

Bose ich nogi ślizgały się w lepkiej masie ciał rybich, rojących się na dnie łodzi, aż się obaj raz za razem na wznak w wodę walili.

Poskoczyli tedy samowtór obiema stopami na burty.

Na nich stojąc pracowali bez wytchnienia i aż do ostatniego oddechu.

Krzyk młodszego stawał się coraz częstszy, głośniejszy.

Starszy obejrzał się poza siebie i straszliwą rzecz zobaczył.

Łódź Jana była pełna wody, a on sam stał okrakiem na nadburciu, we wodzie aż do kostek.

Burty kwaczy - raz bakortem, drugi raz sztymborkiem - wynurzały się z piany, jakby jeszcze poratunku szukając.

Rudel pod ciężarem rybaka całkiem się w wodę zawałił.

Plichta statku stromo wylaża i kołysząc się stała nad falą.

Przelewy morza szły nad łodzią i między nogami rybaka.

I oto rozległ się krzyk: - Bracie, ratuj!

W czarnych bryłach wody Józef zobaczył młodszego, jako płynie ku niemu. A sam stał po kolana w przewałach, a sam widział, że mu w łodzi już po nadburcia przybrało, a sam czuł, że mu siły w ramionach ubywa.

W ocemgnienu zobaczył w głębi siebie twarze dzieci i oczy białki miłowanej. W takiej oto złej minucie brat Jan ze skowyczeniem rozpaczy do jego burty się dorwał.

W takiej oto złej minucie koślawą lewą dłonią zgrzytał po niej pazurami.

Poczuł we wnętrzości swej Józef zimne i jasne rozumienie, że skoro drugi człowiek do łodzi tej się wwali, nie strzyma statek zatopiony zdwojonego ciężaru i natychmiast na dno pójdzie.

I spokojny mu to rozmyśl kazał zrobić, co się wykonaniem spełniło. Józef schylił się nagłym ruchem, porwał za uchwyt wiosła, co przy bakorcie leżało, i pchnął nim w głowę Jana.

A potem widział jego ręce, to tam, to sam plaskające między piany, to w głębi, to wierzchem.

I charget jego słyszał, to we wodzie, to nad wodą.

Raz jeszcze widział jego oczy wpatrzone,

Wtedy otwarła się chmura ponad burzy ośrodkiem i na mgnienie powieki ukazało się niebo.

Wiatr pchnął łódź w jakiś okręg odmienny i poniósł ją w białych pianach dziobem na dół albo rufą w otchłani, z boku na bok ją magał w przepaściach. Józef chwycił wodę czerpakiem, bez jednej chwili wytchnienia.

A gdy zdało mu się ukradkiem oczy podnieść za siebie, nie widział już leja wody. Wiatr srogi dokądś go pędził.

Ani się spostrzegł spracowany, że mimo ulewnego wciąż deszczu wody mu w łodzi ubyło.

Gorąco wielkiego szczęścia wskroś ciało jego przejęło.

Wtedy rozejrzał się po okręgach, na wszystkie strony wołając: - Litak! Litak!

Ale morze jeno zbiegano w odpowiedzi chlastało.

A nim wszystkę wodę z czołna zdołał wylać do kropli, dało mu się uczuć przyciszenie orkami.

Czarny rdzeń burzy kędyś na wschód pocwałował.

Nadeszła wreszcie szczęśliwa minuta, iż Józef przysiadł na duchcie. Pot otarł z czoła. A choć przewał jeden po drugim miotał na wsze strony pławaczką, rybak nie mógł się z miejsca podźwignąć.

Nie mógł myśli swych ruszyć z tego miejsca na burcie, nie mógł oczu zepchnąć wołą z tego miejsca przy dulce, gdzie był widział skostniałą rękę Litaka. Aż wreszcie runął na błotniste dno łodzi, twarzą między stornie i bańki.

Długo tam nad nim wiatr huczał i ostra go fala zlewała. Gdy się zaś porwał o jakiejś godzinie, posępny wieczór zapadał. Widać było w pobliżu białe helskie wybrzeże,

Nie milknący nigdy głos boi, gwizdziela morskiego, w oddali, w swoim miejscu narzekał.

Ach, któż wyrazić potrafi straszliwość nocy jesiennej, zwisającej nad łodzią samotną!

Ach, któż wyrazić potrafi nieszczęście grzesznika, dźwigającego po falach uczynku wspomnienie.

Maszop ujął swe wiosło ocalone z pogromu.

Patrzył na pióro pojazdy, którym między oczy Litaka uderzył. Wymacał to miejsce na wiosle struchlałymi palcami. Milczenie mu wiekuiste nakazał.

Ze wszej mocy ramienia bratobójczą pojazdą pracując opłynął przylądek.

Zawrócił nos łodzi ku strome rodzinnej.

Ujrzał wreszcie dziecińskie uśmiechy, białki oczy splekane. Matki oczy skostniałe, pytające się o tamtego.

Dał w załamane jej palce, w szale targające siwe włosy, wiadomość złowrogą, iż orkan zatopił Litaka.

Zachował przed urzędem maszopskim spokojność i godność i zimno dostojne oblicza, gdy, zataiwszy uczynek, wszystko na opak wykręcił.

Wzruszali się mężowie, mocy morza świadomi, słysząc, jako się z bratem obadwaj bronili, jako tamten daleko wichrami porwany nie strzymał, a starszy nadaremnie go szukał w przepaściach.

Chwalili starszego Kąkola za pracę, za ofiarność, za spokój, za męstwo. Wieść o nim poszła od checzy do checzy, od sioła do sioła.

Trzecie morze łez wypłynęło, od tamtych nie mniejsze, ze starych oczu matczynych pod cerkwy drewnianym pułapem.

Tłukł się w ciągu dni i tygodni pogwarek o straszliwej niedoli Litaka.

A potem sprawy chorób i jadła zatarły wspomnienie.

Nie zapomniało serce matki. Nie zapomniało wewnątrz brata.

Skoro Józef wybiegał na połów w Wielkie-li, w Małe-li morze - daleko od brzegów odbijał.

Szukał po dnie poprzez wody, przepatrywał oczyma.

Przepatrywał fale przeczyste.

I ryczał w spienioną pustynię z głębi wnętrza, targanego od straszliwej męczarni: - Litak! Litak!

A nieraz wstawszy w nocy, rzekomo do łodzi na wywłóce spokojnie leżącej, rzekomo do sieci rozwieszonych na poty-czach i sochach, brnął na duny dalekie, pustynne, na dzikie wybrzeże i wył w ciemne morze, aby ulżyć wewnętrznej boleści: - Litak! Litak!

Lecz na głos duszy wzywającej głos morza chrapliwie i z sykiem jednakiej zawždy odpowiedzi udzielał.

Na głos duszy wzywającej gwizdziel jeno morski, pław żelazny, ze swego miejsca w oddali głuchy jęk niby śpiewkę wieczności odrzucał.

Minęły dni długie i leniwe tygodnie.

Gdy zaś na jesieni łososi podpłynęły do brzegu i cały lud rybacki wylęgał, aby maszopstwami, po porządku a pod szypra komendą toń zajmować, Józef stanął wraz z innymi do pracy.

Zostawiwszy stułokciową linę na brzegu, wyjechał w wielkim bacie na morze, wyrzucił prawe skrzydło, macicę, lewe skrzydło niewodu.

Wrócił duchem do brzegu, drugą linę przywożąc.

Stanął sam i pierwszy szlę na ramię zarzucił - za nim białka i dzieci, a nawet matka stara.

Idąc zaś wstecz a powoli, idąc jedno za drugim, spokojnie niewód ciągnęli. Było bowiem ciężko w macicy i srodze się w niej godne ryby targały.

Radość opanowała rodzinę.

Skoro już gruba matnia wytoczyła się w strądy, ujrzeni, iż jest pełna nad podziw. Lecz wnet radość powszechna w straszne przemieniła się czucie, gdy wśród wielkich łososi, skaczących w górę po piasku, ujrzeni nieruchomego Litaka. Kałem morskim zwałany a oblepiony kidzeną, z raną krwawą na czole, leżał z rozkrzyżowanymi rękami.

Przyszedł oto nierychło na wołanie Józefa.

Z głębin morza dalekich a z bełku przepadłego powrócił, żeby u stopy braterskiej jasne czoło położyć.

O niespodzianej godzinie.

Nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana - przed tysiącoleciem czyli dzisiaj nade dniem.

Przychodzi po tajemniczą zapłatę o niespodzianej godzinie jako złodziej.

Lecz czyliż ma śmiertelny - jako złodziej - tylko na echo zbrodni, kiedykolwiek dokonanej, chciwego ucha nastawiać?

Czyliż ma słuchać tylko dzwonów, które biją z głębin morza, z miast do cna zatopionych?

Trzeba drugie ucho nastawić na głos dzwonów bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości.

Bo jak w amarantowym kwiecie pelargonii trwa nieprzerwany upał, ruch, pęd, rozwój i życie, a naszym oczom ukazuje się tylko niemy i zastygły stan kwitnienia, tak samo winno być ze stanem wewnętrznym i z formą zewnętrzną człowieka.

Cierpienie i rozkosz wewnątrz być winny.

Na zewnątrz winien być stan nieodmienny uśmiechu.

O święty, o boski dzwonie nowy!

W każdym twoim dźwięku jest więcej, niż było w najbujniejszym marzeniu lat młodych, w najpotężniejszym lat męskich zamachu!

Jaka w tobie siła, jaka moc, jaka w tobie potęga!

Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny.

Przychodzimy jako spadkobiercy Krzywoustego drużyny.

Ona poprzez lasy przerąbała pierwszą drogę dla cichego apostołstwa synów bożych.

Ona szła wielkie rzesze słowiańskie wesprzeć o polskie mocarstwo, obronić i zachować.

My przychodzimy, gdy już rzesze słowiańskie pochłonięte zostały i zniszczone na wieki.

Przychodzimy, aby szczątek ostatni od zagłady uchronić.

Lecz brzmi wśród nas ta sama, nowotna po wsze czasy, cantilena radosna.

Przybywszy na to jałowe wybrzeże budujemy portowe paliszcza, wprawiamy w ruch nowe koleje, prowadzimy poprzez błota bite drogi i z bogacamy mieszkańców. Mowę ich bezcenną zachowujemy od zguby.

Jakoby z ręki legendarnego kaszubskiego wielkoluda, stolema, który z oksywskiego półwyspu ciskał wielkie głazy w Radiowo, sypią się na radłowskim pobrzeżu nowe, piękne osiedla.

Strzały armat ze statków wojennych łoskot roznoszą po morzu, po dolinach, po górach, głosząc wszem wobec, iż stopa tępicielea nigdy tu już nie postanie.

Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy.

Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i pokój.

Przynosimy dobro i pracę.

PRZYPISY

Dla uniknięcia niejasności oraz posądzeń o tworzenie neologizmów, co może się nasunąć wskutek wprowadzenia pewnych nowych nazw i określeń, podaję tutaj miejsce narodzin każdego z tych przybłędów do literackiego, wielkomięjskiego języka.

B a k o r t - lewy bok łodzi (Bolesław Ślaski, Słownik morsko-rybołówczy, Poznań 1922).

B a ń t k a - mała flądra, Pleuronectes flessus (Ks. Hieronim Gołębiowski, Obrazki rybackie, Pelplin 1910),

B a t - łódź rybacka o jednym maszcie (Ślaski, Słownik mor.-ryboł.).

B e ł k - kotlina na dnie morza, formy leja (Ślaski, Słownik).

B e ł t - cieśnina morska (Samuel Bogumił Linde, Słownik języka polskiego, Lwów 1854).

B o d ó r - ość rybacka na węgorku (Ślaski, Materiały i przyczynki do dziejów... Pucka, Warszawa 1916).

B o j a - syrena pływająca, Heulboje, gwizdziel (Ślaski, Słownik).

B r o d n i k - niewód pomniejszy do ciągnięcia po dnie morza (Ślaski, Słownik).

B u j o w i s k o - morze sfalowane (Ślaski, Słownik).

B u r t a - bok statku (Ślaski, Słownik).

B r y z a - franc. la brise, lekki a stały wiatr na morzu (Ślaski, Słownik).

B y s t r z - prąd morski, nurt (Ślaski, Słownik).

C h a r s z c z, czyli w y d m u s z y c a - roślina do utrwalania piasków nad morzem (Gołębiowski, Obrazki rybackie).

C e r k w a, kaszubskie c e r k v j a - kościół (Stefan Ramułt, Słownik języka pomorskiego, Kraków 1893).

C h e c z e - mieszkania (Ramułt, Słownik).

D a r g a - węda na szczupaki (Ślaski, Słownik).

D e n e g a - wzburzone morze (Wos Budzysz. Nowotne spiewe, Poznań 1910).

D o r s z, czyli p o d m u c h l a. Gadus morrhua - ryba poławiająca się jedynie w głębokich warstwach wschodniego Bałtyku (Prof. dr Antoni Jakubski, Rys biologii polskiego morza, Lwów-Warszawa 1923).

D r y g a w i c a, czyli s ł ę p - sieć na Wiśle używana (Ślaski, Rybołówstwo i rybołowcy na Wiśle, Warszawa 1917).

D u l k a - kołek żelazny w burcie statku do opierania wiosła (Ślaski, Słownik).

D u n a - wydma piasku, zaspą, morska góra (Ślaski, Słownik).

G ł a d a - cicha morska toń (Ślaski, Słownik).

G ł a d y s a - stornia gładka, bez kolców, Rhombus laevis (Ślaski, Słownik).

G r u n t o w n i k - niewód po dnie chodzący (Ślaski, Słownik).

G w i ź d z i e l, czyli b o j a - pływająca syrena (Ślaski, Słownik).

H a k - ławica piaskowa w morzu (Ślaski, Słownik).

H e l m ą t, czyli h a m u l e c - rękojeść, trzon steru (Ślaski, Słownik).

K i d z e n a, czyli w e b ł o - trawa morska, Zostera marina (Gołębiowski, Obrazki).

K i e ł p i e - łabędzie (Ślaski, Słownik).

K i p i e l - wielka fala na morzu, niem. Brandung (Ślaski, SłownikJ).

K l i n, kliver, foca, franc. le foc - żagiel trójkątny na przedzie statku (Ślaski, Słownik),

K o r c z a k - naczynie do wylewania wody (Linde, Słownik).

K r ą ż e l c z y k r ę ż e l - walec drewniany w przęśnicy (Słownik warszawski Karłowicza).

K r ę c i c h a - wielki niewód wyciągany za pomocą kołowrotów (Gołębiowski, Obrazki).

K w a c z a - statek rybacki o jednym lub dwu masztach, niem. Quase (Ślaski, Słownik).

M a s z o p s t w o - spółka rybaków łowiąca na własny rachunek (Ramułt, Słownik).

M i e r z e j a - wąski pas lądu odgradzający zatokę od morza (Prof. Melchior Neumayer, Dzieje ziemi. Warszawa 1912).

M i k o ł a j e k a m e t y s t o w y - Eryngium maritimum, niem. Strand-diestel (Dr January Kołodziejczyk, Krajobrazy roślinne nad Wisłą, Warszawa).

N a d b u r c i e, czyli d o l b a n - górna listwa nad burtą (Ślaski, Słownik).

N i e o b a c z k i e m albo z n i e o b a c z k a - niespodzianie, chyłkiem (Linde, Słownik).

N i e t o t a, czyli s k r z y p, w i d ł a k - ślad przedpotopowego wielkokrzewu (Słownik warszawski Karłowicza).

P a c z y n a - wiosło duże (Słownik warszawski Karłowicza).

P a l i s z c z e - grobla z palów w dno morza bitych, franc. estacade (Kazimierz Mokłowski w Historii budownictwa drzewnego paliszczami nazywa budowle nawodne). Ponieważ nie posiadamy nazwy na oznaczenie pojęcia estacade, digue, molo - użyłem wyrazu paliszcze.

P a ł a s z - skrzydło drewniane w formie deski, umocowane z boku łodzi dla nadania jej większej ostożności na wodzie (Ślaski, Słownik).

P a w ł o k a - bardzo cienka tkanina. "Zewlekli Jezusa i oblekli w powłokę". "Pawłoką jasną twarz zarzucił". "Włosy głowy twojej, jako pawłoka królewska". (Linde, Słownik).

P ł a s k o ć - franc. la plage, nadbrzeże. Wyraz zasłyszany przez Antoniego Sygietyńskiego z ust rybaków nadwiślańskich i używany przezeń na oznaczenie "plaży".

P ł a w a c z k a - łódź. "O białoskrzydła, morska pławaczko, wychowanico Idy wysokiej, łodzi bukowa..." (Jan Kochanowski, Odprawa posłów greckich. Chorus).

P o c h o d n i c a - gwiazda zaranna, "...pochodnica świtu, ta Polaków obronna stella matutina" (Juliusz Słowacki, Zawisza Czarny).

P o d p l u s k czy d o k ł a d w o d y, albo s z e l i n g a - fala zalewająca strąd i wracająca do morza (Ślaski, Słownik).

P i ó r o albo c i ą g ł o - dolna część wiosła, w wodzie zanurzona. "Pióra zowią się końce płaskie u pojazdów" (Linde, Słownik).

P l i c h t a - przód łodzi z budką dla składania rzeczy (Linde, Słownik. Ślaski, Słownik),

P ł a s t u g a - flądra, gatunek należący do rodziny płastugowatych, czyli bokopływów, Pleuronectidae (Prof. dr Antoni Jakubski, Zarys biologii polskiego morza).

P o j a z d a - wiosło nieokute. "Przy burtach obu rozsadził pojazdy" (Klonowicz. Linde, Słownik. Ślaski, Słownik).

P r y s k - silne bicie bałwanów, wielka fala na morzu (Ślaski, Słownik).

P r z e l e w a - silnie wzdymająca się i opadająca fala (Ślaski, Słownik). "Gdy bok już czółna zanurza się w przelewie, drugi wał dźwignie i nie dał zaciekać" (Linde, Słownik).

P r z e w a ł - wielki napływ fali (Linde, Słownik),

P o t y c z albo s o c h a - drążek z rozszczepem u góry, wbijany na lądzie do zawieszania sieci (Ślaski, Słownik. Linde, Słownik).

R e m y - wiosła nieokute (Ślaski, Słownik).

R e w a - ławica piaskowa ciągnąca się w morzu, podwodzie (Ślaski, Słownik).

R u d e l albo r u d ł o. - "Rudel jest w tyle statku i wychodzi za budę, którym sternik według potrzeby kieruje" (Linde, Słownik).

R u f a - tylna część okrętu (Linde, Słownik).

S a d y - ciemnościwy. "Wołków go sadych ciągnęła para" (Słownik warszawski Karłowicza).

S i o d ł a t y - szarawy. "Gęsi szarawe, siodłate i pstre nie są tak użyteczne jak białe" (Linde, Słownik).

S n a d z i z n a - mielizna, płycizna w morzu, mianowicie przy brzegu. "Z powodu snadzizny Małego Morza..." (Słownik warszawski Karłowicza).

S p y c h - urwisty, obsypujący się brzeg, wiszar, franc. la falaise (Ślaski, Słownik).

S t o r n i a - flądra wyrosła (Ślaski, Słownik).

S t r ą d - brzeg morski, zwłaszcza płaski, nadmorze (Ślaski, Słownik).

S t r o i s z - długa laska, trzon u bodora (Ślaski, Słownik).

S t r o n a - wąska smuga wody tuż przy brzegu Wielkiego Morza, pomiędzy progim a suchą rewą (Ślaski, Słownik).

S u s t a w y albo s t a w y. "Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć" (Juliusz Słowacki, Ojciec zadżumionych).

S z k u t a - statek wodny (Linde, Słownik).

S z o r - bardzo głęboka woda na morzu, w znacznym oddaleniu od brzegów, odznaczająca się ciemną barwą, wart morski (Ślaski, Słownik). "Woda prze szorem, woda płynie bystro" (Słownik warszawski Karłowicza).

S z t y m b o r k - prawy bok statku (Ślaski, Słownik).

S z u t - lina do przytrzymywania dolnego, zewnętrznego rogu żagla w pewnym kierunku do wiatru (Ślaski, Słownik).

S z y p e r - starszy rybak, przełożony nad maszoperią (Gołębiowski, Obrazki).

T a k i e l - olinowanie i uzaglenie statku (A. Kleczkowski, Rejestr budowy galeony. Kraków 1915).

T a k l a - węda na łososie (Ślaski, Słownik)].

T o p ż a g i e l, czyli wrona - mały żagielek u szczytu masztu ponad wielkim żaglem (Ślaski, Słownik).

T r a m - belka główna. "Ciężki tram na zranione ramiona Jezusowe". "Las tramami zarosły" (Linde, Słownik).

U c h w a t, czyli g r y f - rękojeść, górna część pojazdy, wiosła (Ślaski, Słownik).

W a r t - główny prąd rzeki. "Nurt krzywy i gościniec główny, gdzie ma iść szkuta i dubas warowny, wartem nazywa rotman" (Klonowicz, Flis).

W a t a - gęsta siatka rybacka na dwu drążkach (Słownik warszawski Karłowicza).

W e b ł o, czyli m o r s z c z y n a - trawa morska (Słownik warszawski Karłowicza. Prof. dr Jakubski, Rys biologii polskiego morza).

W e ł n a - bałwan morski, fala, wał wodny. "Bóg wzburza morze, a szumią głośno wełny jego" (Linde, Słownik),

W i e s t k a - baśń, opowieść. "...jest na Wschodzie wiestka, że się w róży kocha słowik" (Juliusz Słowacki, Zawisza Czarny).

W i ę c i e r z albo ż a k - sieć na węgorze. (Ślaski, Słownik).

W i k - Putziger Wieck, Małe Morze (Ślaski, Słownik).

W o j o - ster u łodzi (Ślaski, Słownik).

W y w ł o k a - miejsce na strądzie, przeznaczone dla wyciąganych z morza łodzi (Ślaski, Słownik).

W y d m u s z y c a, czyli w y d m u c h r z y c a - charszcz, Elymus arcuarius, niem. Strandhafer

(Słownik warszawski Karłowicza. Śląski, Słownik).

Z i e l e n i c a - przestrzeń wód morskich w niewielkiej odległości od strądu, odznaczająca się piękną zieloną barwą. Głębokość wody w takich miejscach wynosi kilka metrów (Ślaski, Słownik).

Z a s i ą k l e - jezioro wody stojącej po wylewie, na zewnątrz koryta Wisły (Ślaski, Rybołówstwo i rybołowcy na Wiśle).

Z d z i a r - wybrzeże, drobnym kamieniem usiane (Ślaski, Rybołówstwo i rybołowcy na Wiśle).

Przygotowano na podstawie bookini.pl